



Klasyka literatury

KAROL MAY

# W Harrarze

Ród Rodrigandów

POWIEŚĆ



Karol May

W Harrarze

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2017

Karol May  
„W Harrarze”

Copyright © by Karol May, 1926  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)  
Tekst oryginalny tłumaczenia: anonimowy.

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Łukasz Chmielewski  
Projekt okładki: Kamil Skitek  
Druk: Zakł. Druk. „Bristol”  
Warszawa 1926

ISBN: 978-83-8119-078-7

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706  
<http://www.psychoskok.pl/>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## Achmed Ben Abubekr

życie podobne jest do morza o niezmierzonej ilości burzliwych fal. Miljony, setki milionów zmiennych postaci wyłaniają się z nurtów, aby ukazać na powierzchni na krótki moment życia ludzkiego i zniknąć. Na zawsze? Kto to wie? Na brzegu stoi obserwator i wysyła tysiące pytań pod adresem losu, ale los jest głuchy. Mówi i odpowiada nie słowem, ale faktami. Wypadki rozwijają się niepowstrzymanie, śmiertelni muszą z bezbronną niemal cierpliwością czekać na narodziny utęsknionych wypadków.

Często człowiek stoi przed zdarzeniami, które pozornie wydają się brzemienne w skutki, a tymczasem mijają dni i lata i wydaje się, że skutki na zawsze uwiędły w załączku. Wydaje się, że minione przestaje działać, że tajemne nici życia zostały przerwane. Nie słyhać najmniejszego oddźwięku, nie widać czynu, ani jego rezultatu, człowiek w słabości swej zaczyna wątpić w sprawiedliwość Opatrzności. Sprawiedliwość ta jednak, nie oglądając się na nic, idzie swymi niezbadanymi drogami i właśnie w chwilach, kiedy się tego najmniej spodziewamy, chwyta zdarzenie w swą miazdzącą dłoń; wtedy człowiek poznaje ku swemu zdziwieniu, że czas w ukryciu związał nitki życia w węzeł, aby go teraz człowiek rozwiązywał.

Podobnie ze zdarzeniami, których nici zbiegały się w Reinswalden. Mijały dni, miesiące, lata; o drogich osobach, które wyruszyły w daleki świat, nie było żadnej wiadomości.

Zaginął słuch o nich. Trzeba było wreszcie uznać, że zginęły; coraz bardziej ustalające się poczucie tego faktu, napełniało mieszkańców Reinswaldu głębokim smutkiem. Gdy nie było już wątpliwości, że wszelkie poszukiwania są daremne, ból opuszczonych wzmógł się nieskończenie. Ale czas, ten koiciel wszystkich cierpień, robił swoje. Na twarze mieszkańców leśniczówki kładł cień cichej rezygnacji. Nikt już nie skarżył się, nie rozpaczał, tylko w sercach zostało żywe wspomnienie o tych, którzy zaginęli; mimo faktów, nikt nie miał odwagi przyznać się, że ostatnią nadzieję utracił...

Tak minęło dziewięć lat; nadszedł rok 1866, w którym wypadki, pozornie skończone i zamknięte, zaczęły się dalej rozwijać. — —

Na zachodnim brzegu golfu Aden, łączącym Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim, leży kraj, który należał częściowo do sławnego Timbaktu, częściowo

zaś do bajecznego Dorado. Najodważniejsi podróżni próbowali napróżno zbadać ten zakątek; do roku 1866, o którym mowa, udało się jedynie w roku 1854 pewnemu gotowemu na wszystko oficerowi brytyjskiemu Ryszardowi Burtonowi dotrzeć do niego i przynieść nieco wiadomości. Niektórzy cudzoziemcy, nawet z pośród Europejczyków, kraju tego, zwanego Harrarem, dotknęli stopą, ale nie mogli poinformować nikogo o panujących w nim stosunkach, nigdy bowiem stamtąd nie powracali. Zatrzymywano ich jako jeńców. Jakkolwiek na wniosek Anglików, a zwłaszcza wskutek usiłowań szlachetnego lorda Wilberforce, przyszło do porozumienia między poszczególnymi krajami, na podstawie którego zabroniono handlu niewolnikami, jakkolwiek okręty wojenne wszystkich krajów miały nietylko prawo, lecz i obowiązek zatrzymywać okręty z transportem ludzkim, oswobadzać niewolników i wieszać całą załogę, od kapitana począwszy, na ostatnim chłopcu okrętowym skończywszy, to jednak niewolnictwo jeszcze istniało. Były nawet kraje, w których kwitło. Jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku każdy, kto zwiedzał Konstantynopol, mógł stwierdzić, że nietrudno w tem mieście kupować ludzi wszelkich ras i narodowości. Najlepsze rezultaty przynosiły polowania na niewolników w okolicach Nilu oraz w miejscowościach, położonych nad Morzem Czerwonym lub wschodnich wybrzeżach Afryki. W tych właśnie stronach leży Harrar.

Kraina ta nie dotyka bezpośrednio brzegu. Można do niego dotrzeć z portów Zeyla i Berbera, przecinając kraj Somali. Somali należą do najpiękniejszych przedstawicieli rasy czarnych; jest to lud bitny, wojowniczy, nie spoczywa w walce z sąsiadami, to też komunikacja wybrzeża z Harrarem nastrocza wielkie niebezpieczeństwo. Oto przyczyna, dla której tylko bardzo nielicznym jeńcom udało się uciec z Harraru i dotrzeć nad brzeg morza. —

Tam, gdzie wyspa Somali wznosić się zaczyna ku zachodowi, i gdzie wśród nagich skał i żółtego piasku pojawiać się zaczyna nieco roślinności, poruszała się karawana w kierunku zachodzącego słońca. Obok ciężko objuczonych wielbłądów szli dobrze uzbrojeni ludzie, ciemni już z przyrodzenia, a w dodatku spaleni przez słońce.

Ludzie uzbrojeni byli egzotycznie. Mieli stare flinty o długich, perskich lufach, maczugi z drzewa hebanowego i łuki, dla których w kołczanie przechowywali niebezpieczne, zatrute strzały. Poza tem każdy miał długi, ostry nóż za pasem.

Wielbłądy nie szły swobodnie; były przywiązane do siebie w ten sposób, że uзда każdego łączyła się z ogonem poprzednika. Wszystkie miały na sobie ciężko

obladowane siodła, z wyjątkiem jednego, dźwigającego na plecach coś w rodzaju lektyki, krytej z czterech stron firankami, przez które swobodnie przepływało powietrze. W lektyce spoczywała zapewne kobieta, której nie powinni byli oglądać niepowołani.

Obok tego wielbłąda jechał na mocnym, białym mule człowiek, wyglądający na przywódcę orszaku. Odziany w długi, biały płaszcz beduiński, na głowie miał turban tegoż koloru, broń zaś taką samą, jak ludzie eskortujący karawanę, tylko rękojeść noża i łożysko flinty były ze srebra. Jadąc na czele oddziału, obok wielbłąda, badał ostrym, przenikliwym wzrokiem zachodnią stronę okolicy. W pewnej chwili zatrzymał muła i zwrócił się do swoich ludzi:

— Otmanie, czy widzisz ten wąwóz?

— Widzę go, emirze.

— Tam będziemy dziś nocować — rzekł przywódca. — Byłeś już ze mną nieraz w Harrarze. Czy pamiętasz jeszcze okolice?

— Pamiętam, emirze.

— Doskonale. Od wąwozu niedaleko do wsi Elaoda, a stamtąd tylko godzina drogi do siedziby sułtana. Odwiąż swego wielbłąda, jedź i zamelduj, że jutro rano przybędę.

Człowiek, do którego te słowa były zwrócone, spełnił polecenie. Odwiązując swego wielbłąda, prowadzonego w szeregu wraz z innymi, wskazał w kierunku lektyki i zapytał bardzo cicho, tak, aby tylko mógł słyszeć emir:

— Czy mam powiedzieć sułtanowi, co wieziemy ze sobą?

— Powiedz, że przywozimy szale i jedwabie, miedź, ołów, noże, proch, cukier i papier; powiedz, że chcemy to wszystko zamienić na tytoń, kość słoniową, masło i szafran. Tylko o niewolnicy nie mów ani słowa.

— Czy mam zabrać ze sobą haracz?

— Nie. Sułtan nigdy niesyt dąniny. Jeżeli pošlę mu teraz, zażąda później nowych podarunków.

Otman dał znak wielbłądowi i oddalił się w błyskawicznym tempie. —

Karawana zwróciła się ku wąwózowi, o którym mówił emir. Leżał w pobliżu, więc dotarli doń szybko. Gdy jeźdźcy zsiadli ze swych zwierząt, słońce właśnie opadało za horyzont. Zachody słońca odbywają się w tych stronach przeważnie punktualnie o szóstej wieczorem; jest to godzina modlitwy wieczornej, przepisanej przez proroka Mahometa.

Beduini wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, uprawiają rozbój, ale równocześnie są tak religijni, że za największy grzech poczytują opuszczenie jakiegokolwiek przepisanej modlitwy. Dlatego też członkowie karawany natychmiast się zebrali i uklękli do modłów. Obrządek ich wymaga umycia rąk; ponieważ wody nie mieli, więc posługiwali się piaskiem, przepuszczając go przez palce, jakby to była woda.

Ukończywszy modlitwę, zdjęli ładunki z pleców wielbłądów, poczem usiedli, aby wypocząć po długiej, uciążliwej podróży.

Kilku odwiązało lektykę z pleców wielbłąda. Osoby, znajdującej się wewnątrz, nie można było zobaczyć. Widocznie w czasie podróży lektyki nie opuszczała.

Emir wziął kilka daktyli, nalał do skózanego kubka nieco wody, zlekka uchylił zasłon lektyki i zapytał cicho:

— Czy chcesz jeść i pić?

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko wychyliła się jakaś ręka, aby wziąć owoce i wodę.

— Allah jest wielki, obdarzył mnie złą pamięcią, — mruknął emir. — Zapominam ciągle, że nie rozumiesz naszego języka.

Zabrał opróżniony kubek i rzucił na dawne miejsce. Na niemy jego znak podniosło się kilku ludzi i chwyciło za broń. Poszli pilnować obozu, uważać, aby żaden wróg nie wypadł zniecacka, a schwyтана niewolnica nie uciekła. Po niedługim czasie wszystko było pogrążone w głębokim śnie. —

Otman przybył tymczasem do wsi, o której była mowa, i, nie zatrzymując się, pośpieszył dalej w kierunku Harraru. Stał tam w jakąś godzinę po rozmowie ze swym panem.

Bramy tego miasta zamykano o zachodzie słońca i odtąd nikt nie mógł bez specjalnego zezwolenia sułtana wchodzić przez nie, ani wychodzić. Otman długo i usilnie musiał kołatać, zanim się wreszcie pojawił strażnik.

— Kto tam? — zapytał, nie otwierając.

— Sługa sułtana Achmeda Ben Abubekra — brzmiała odpowiedź.

— Jak się nazywasz?

— Imię moje brzmi: Hadzi Otman Ben Mehemmed Ibn Hulam.

— Do jakiego szczepu należysz?

— Jestem wolny Somali.

Mieszkańcy Harraru gardzą, zresztą bez najmniejszej podstawy, Arabami

i szczepem Somali; dlatego też strażnik odparł:

— Człowieka szczepu Somali nie wolno mi wpuścić. Byłbym surowo ukarany, gdybym dla takiej przyczyny zakłócał spokój sułtana.

— Z pewnością będziesz ukarany, — odparł Otman — ale wtedy, gdy nie zameldujesz, że żądam wpuszczenia. Jestem posłańcem emira Arafata.

Słowa te wywołały w strażniku pewne wątpliwości. Wiedział przecież, że emir Arafat jest przywódcą karawan handlowych, z których sułtan ciągnął tak świetne zyski. Dlatego odparł:

— Arafat? Spróbuję. Zdam pieczę nad bramą koledze, sam zaś pójdę i zamelduję o twym przybyciu.

Otman dopiero teraz zsiadł z wielbłąda; spoczął na ziemi, oczekując, aż go wpuszczą. Strażnik pozostawił przy bramie towarzysza i udał się do pałacu sułtana.

Właściwie trudno tu użyć słowa pałac. Sławna, a raczej osławiona stolica otoczona była najzwyklejszym murem; miasteczko samo było niewielkie. Domy wyglądały jak murowane szopy, a pałac sułtana przypominał stodołę. Obok stała rudera, zbudowana z nieociosanych kamieni; dzień i noc dobiegał z niej dźwięk kajdan. Było to więzienie państwowe; składało się z głębokich piwnic podziemnych, do których nigdy nie docierało światło dzienne. Biada więźniom, których doń wtrącono! Sułtan nie dawał im ani jedzenia, ani napoju, a jeżeli nawet jakiś przyjaciel lub krewny przynosił trochę wody i trochę zimnej, kleistej zaprawy z mąki kukurydzanej, używanej w tym kraju, więźniowie umierali w wyziewach własnego brudu.

Tronem potężnego monarchy, nieograniczonego pana i władcy życia i śmierci swych podwładnych, była skromna ławka drewniana, jaką spotkać można tylko u biedaków. Na tej ławie siadywał sułtan z nogami podwiniętymi zwyczajem wschodnim; albo dumiał samotnie, albo też udzielał audjencji, podczas których każdy drżał w śmiertelnym strachu, najmniejszy bowiem drobiazg wystarczył, by sułtan krew czyjąś przelał.

I dzisiejszego wieczora siedział sułtan na swem podniesieniu. Wisiały za nim na ścianie stare, nieużywane już flinty, szable, żelazne kajdany na ręce i nogi — dowody wielkiej surowości władcy.

Przed sułtanem siedział wezyr w otoczeniu paru mahometan uczonych w piśmie. Ztyłu, na ziemi, widać było liczne wynędzniałe postacie, zakute w kajdany. Sułtan lubiał ozdabiać swój tron niewolnikami; uważał, że uświetniają



jego potęgę i chwałę.

Na uboczu stał również jakiś jeniec; ręce i nogi miał skute łańcuchami. Był wysoki i szczupły; rozpacz pochyliła głowę jego ku ziemi. Zagasty wzrok i zapadnięte policzki wskazywały, iż jest wygłodzony i głęboko nieszczęśliwy.

Jedynym ubraniem jeńca była postrzępiona koszula.

Mówił coś zapewne przed chwilą, oczy bowiem wszystkich były skierowane ku niemu; sułtan spoglądał ponuro i groźnie jak kat.

— Psie! — rzekł do jeńca. — Kłamiesz nikczemnie. Jakże to możliwe, aby chrześcijański władca był potężniejszy od wyznawców proroka? Czemże są wszyscy twoi królowie, wobec mnie, sułtana z Harraru?

Oczy jeńca zabłyśły. Odpowiedział:

— Nie byłem królem, tylko jednym z najdostojniejszych obywateli mego kraju. Mimo to byłem po tysiąckroć szczęśliwszy i bogatszy od ciebie.

Sułtan rozpostarł wszystkich dziesięć palców. W tej samej chwili wysunęła się z kąta jakaś postać, podniosła ciężką laskę bambusową i wymierzyła jeńcowi dziesięć uderzeń, jak tego żądał sułtan. Jeniec nie drgnął nawet; zdawało się, że jest przyzwyczajony do takiego traktowania i że uderzeń już wcale nie czuje.

— Czy odwołasz? — zapytał sułtan.

— Nie!

Władca rozkazał mu wymierzyć piętnaście kijów. Gdy to nie poskutkowało, rzekł:

— Pokażę ci, jaką moc posiadam. Jesteś chrześcijańskim psem. Nakazałem ci czcić proroka, ale dotychczas nie usłuchałeś. Dziś rozkazuję po raz ostatni; czy będziesz posłuszny, nędzny robaku?

— Nigdy! — odparł jeniec pewnym głosem. — Zrabowałeś mi wolność, możesz pozbawić życia, ale wiary mej ci nie oddam. To jest granica, przy której kończy się twoja moc!

Władca zacisnął pięści i zawołał ponurym głosem:

— Każę cię wrzucić do najgłębszego lochu!

— Uczyń to! — odparł nieustraszony więzień. — Chcę umrzeć, tęsknię za śmiercią. Skończą się moje męki; nareszcie znajdę spokój i ciszę.

— Dobrze! Stanie się, jak chcesz. Zaprowadźcie go do najgorszego z lochów!

Na ten rozkaz sułtana, kat ujął starca za rękę i wyprowadził na dziedziniec. Tam przyłączyło się do niego jeszcze kilku ludzi i razem zawlekli jeńca do

więzienia.

Gdy się drzwi więzienia otwały, uderzyły ich nieprawdopodobne wyziewy; z wewnątrz słycać było pobrzęk łańcuchów i jęk więzionych. Nie było światła, więc jeniec nie mógł nic zobaczyć. Zaprowadzono go do jakiegoś kąta. Tu kat podniósł przy pomocy swych towarzyszy wielki, ciężki kamień. Trąciwszy jeńca z całej siły, rzekł, śmiejąc się:

— Tu twoje miejsce, psie chrześcijański. W przeciągu dwóch dni zostaniesz pożarty.

Stary wpadając w norę głębokości kilku metrów, uderzył się twarzą o ścianę i skaleczył. Nie miał jednak wprost czasu pomyśleć o tem skaleczeniu, gdyż ledwie usłyszał, jak położono kamień na jego grobie, poczuł, że jakieś zwierzęta zaczynają obgryzać mu gołe nogi.

— Na Boga, a więc naprawdę mam zostać żywcem pożarty! — zawołał w trwodze.

Były to szczury, które głodowały zapewne oddawna. Zaczął się bronić przed nimi, gniotąc nogami. Chwytał je w ręce i dusił, ale setki ukąszeń sprawiały mu straszne cierpienia. Loch, w którym się znajdował, miał przeszło metr szerokości i trzy i pół metra głębokości. Oparł się plecami o jeden brzeg muru, nogami o drugi i próbował wdrapywać metodą kominiarzy.

Pod naporem jego ciała oderwał się od muru jeden z kamieni i spadł na dno lochu. Kwik i pisk, który nastąpił, przekonał go, że kamień zabił kilka szczurów.

— Dzięki Bogu, mam coś w rodzaju broni!

Zlazł nieco niżej, chwycił kamień i zaczął walić po ziemi. Walił tak, nie bacząc na ukąszenia, aż ostatni szczur przestał się poruszać.

Waląc kamieniem na wszystkie strony, natrafił ręką na jakiś okrągły, pusty wewnątrz przedmiot. Wydał okrzyk przerażenia, Chwycił bowiem czaszkę trupa.

— Taki będzie i mój los — rzekł. — Boże, mój Boże cóż uczyniłem, że gotujesz mi śmierć tak straszną? Niechaj będą przeklęci Cortejo i Landola...

Stał w ciemnościach więzienia i wyciągał naprzód ręce. Nagle przejął go strach, jakiś głos bowiem odpowiedział:

— Landola? Niech będzie przeklęty do dziesiątego pokolenia!

Słowa te zostały wypowiedziane głosem tak ponurym, tak rozpaczliwym, iż jeńca przejął dreszcz grozy.

— Kto to? — zapytał. — Któż tu przemawia moim ojczystym językiem?

— Powiedz naprzód, kim ty jesteś, — odezwał się głos z góry. — Tyś wywalił dziurę w murze mego więzienia.

— Jestem Hiszpanem, pochodzę z Meksyku, — odpowiedział jeniec. — Nazywam się hrabia Fernando de Rodriganda.

— Santa Madonna! — brzmiała odpowiedź. — Hrabia Fernando, brat hrabiego Manuela de Rodriganda.

— Valgame Dios! Mówicie o moim bracie Manuelu? Więc go znacie?

— Oczywiście, że znam. Przecież... Ale, ale. To niemożliwe, abyście byli hrabią Fernando. Przecież hrabia Fernando umarł już przed laty.

— Powiadam wam, że nie umarł, a został tylko uznany za zmarłego. Landola porwał go i sprzedał tutaj, do Harraru.

— To, co mi mówicie, sennor, brzmi jak bajka i wprost mi się w nią wierzyć nie chce. Ale, gdy się nad tem zastanowić... Przecież don Manuel również... ale o tem później. Zejdę do was, don Fernando. Może mi się uda przy waszej pomocy usunąć drugi kamień. Wtedy będę mógł wydostać się przez otwór. Czy chcecie mi pomóc, den Fernando?

— Chętnie; już idę.

Stary wdrapał się po ścianie w górę; wspólnym wysiłkiem udało się jeńcom poruszyć drugi kamień. Otwór był dostatecznie wielki, aby człowiek mógł się przezeń przedostać.

— Złaźcie, sennor. — Idę do was.

A jeżeli nas razem znajdą? — przestrzegł hrabia.

— Nie złapią. Skazano nas przecież na to, abyśmy zdechli z głodu, jeśli nas przedtem szczury nie zjedzą, więc nikt nie będzie tutaj zachodził. A gdyby przypadkiem chciano odwiedzić jednego z nas, drugi skorzysta z ciemności i wymknie się przez dziurę. Musimy pomówić ze sobą. Już idę.

Hrabia zlął nadół, towarzysz podążył za nim. Więzienie było tak wąskie, że stanęli sobie twarzą w twarz, ale to im nie przeszkadzało. Przeciwnie, było szczęściem dla hrabiego widzieć obok siebie człowieka, który mu sprzyjał. Człowiek ten ujął hrabiego za rękę i rzekł:

— Ach, don Fernando, pozwólcie, że wam uścisknę rękę. Czuję się szczęśliwy, iż po tak długich cierpieniach spotykam rodaka. Pochodzę z Manrezy.

— Z Manrezy? Tak blisko od Rodriganda?

— Tak. Jestem zwykłym prostakiem; nazywam się Mindrello. O panie, mam

wam wiele do opowiedzenia! Niech mi sennor powie, jak dawno temu opuścił pan Meksyk?

— O, już bardzo dawno. Nie mogę określić dni, tygodni, ani miesięcy, ale mam wrażenie, że gniję w niewoli mniej więcej od lat osiemnastu.

— Dios! A więc nie wiecie zapewne, że brat wasz został uznany za zmarłego?

— Nie. Kiedyż to się stało?

— Przed siedemnastu laty.

— Powiadacie, że go uznano za zmarłego? A może naprawdę umarł? Gdy się zastanawiam nad tem, co mnie spotkało, nabieram wrażenia, iż są ludzie, którym bardzo zależy na tem, aby zginął on zarówno, jak ja.

— Sądzicie tak naprawdę? — zapytał szybko Mindrello. — Bezwątpienia macie rację. Ale co się z wami stało?

— Nie mówmy o tem chwilowo — rzekł hrabia. — Powiedzcie mi naprzód, jakie macie wiadomości o mojej ojczyźnie, o moich bliskich, i w jaki sposób dostaliście się tutaj.

— Co się tyczy rodziny hrabiego, to wiadomo mi, że hrabia Manuel jest uznany za zmarłego i że don Alfonso objął dziedzictwo.

— Ach! — zawołał don Fernando.

Przypomniał sobie teraz sprawy drugiego testamentu, który sporządził w obecności Marji Hermoyes. Przypomniał sobie również, że testament ten schował w środkowej szufladzie biurka. Czy go nie znaleziono? Wydziedziczył przecież Alfonsa i jednak ten został hrabią Rodriganda! Albo więc testament sfałszowano, albo też zginął w jakiś sposób.

— Alfonso — zapytał — jest hrabią? Jakże on rządzi?

— Och, jak prawdziwy tyran. Znienawidził go cały kraj. Boją się go jak ognia; opowiadają o nim dziwy. Nie wiem, czy mi wolno o tem mówić.

— Ależ, proszę, mówcie zupełnie szczerze.

— Ludzie opowiadają sobie, że Alfonso nie należy wcale do rodu Rodrigandów.

— Ach! — krzyknął hrabia. — Na jakiejże to podstawie ludzie opowiadają?

— To trudno określić. Ale byłem sam świadkiem pewnych sytuacji, które potwierdzić musiały podejrzenie, iż Alfonso nie jest prawdziwym hrabią Rodriganda. Ten mój pogląd jest również powodem, dla którego tutaj się znalazłem; unieszkodliwiono mnie.

— Mówcie, mówcie! — naglił hrabia.

Mindrello nie od razu spełnił tę prośbę. Jakiś czas namyślał się, coś sobie przypominając. Wreszcie zaczął opisywać wydarzenia, których widownią był zamek Rodriganda, pojawienie się doktora Sternaua, jego śmiałe i skuteczne wkroczenie w życie hrabiego Manuela, które skończyło się uwolnieniem hrabiego i małżeństwem Sternaua z hrabianką, zawartem w Reinswalden. Mindrello mówił:

— Dzięki wynagrodzeniu, które otrzymałem za służbę u hrabiego Manuela, przedzierzgnąłem się w zamożnego człowieka. Wróciłem do Manrezy; wróciłem ku mej zgubie! Te łotry dowiedziały się przez swych szpiegów w Niemczech, w jaki sposób pokrzyżowałem ich plany, i całą złość skierowali na mnie. Don Manuela nie potrzebowali się chwilowo obawiać, hrabia bowiem miał zamiar wystąpić z pretensjami dopiero po odnalezieniu przez Sternaua prawdziwego Alfonsa. Tem bardziej obawiali się, że ja zdradzę ich machinacje. Pewnego dnia otrzymałem od jednego z mych towarzyszy — trzeba panu wiedzieć, że dawniej zajmowałem się od czasu do czasu kontrabandą — kartkę, naznaczającą spotkanie. Pismo towarzysza było mi dokładnie znane, to też nie miałem żadnych podejrzeń. Udałem się o umówionej porze na miejsce, nie poto jednak, by przyjąć jakieś polecenie, a poto, aby oświadczyć, że proponowany interes mi nie odpowiada. Zaledwie doszedłem do umówionego miejsca, chwyciło mnie czterech ludzi skrupowało. Związano mnie, skneblowano i wyniesiono gdzieś w zamkniętym worku. Dokąd, nie wiem.

Mindrello zamilkł na chwilę. Wspomnienie strasznych chwil odebrało mu mowę. Po dłuższej pauzie ciągnął dalej:

— Gdy mnie po długim, długim czasie uwolniono z worka, znalazłem się w ciasnej, ciemnej norze. Proszę sobie wyobrazić moją rozpacz, kiedy po kołysaniu i szumie wody przekonałem się, że jestem zamknięty w kajucie okrętowej. Dopiero, gdyśmy już byli na pełnym morzu, mogłem wyjść na pokład i zaczerpnąć nieco powietrza. Zaprowadzono mnie do kapitana, do tego samego Landoli, o którym mówiliście przedtem. Kpiąc w żywe oczy, oświadczył mi, że pewnym ludziom zależy bardzo na mojem zniknięciu, dlatego mam zostać marynarzem i słuchać ślepo rozkazów pod grozą śmierci. Wkrótce zorjentowałem się, że ten Landola jest handlarzem niewolników i piratem. Pomyśleć tylko, miałem mu pomagać! Miałem chwycić tych biednych murzynów i kupczyć nimi! Miałem napadać na okręty, rabować je i brać udział w mordowaniu załogi! Nie dziw, że się ociągałem. Wtedy znowu wtrącono mnie do lochu; musiałem przymierać głodem, musiałem narażać się na uderzenia, które kaleczyły mi ciało.

Ponieważ mimo to nie kwapiłem się do udziału w zbrodniczych machinacjach, Landola oświadczył, że przeznaczył mi najsurowszą karę: sprzeda mnie jako niewolnika. Płynęliśmy obok wschodniego wybrzeża Afryki. Zarzucił kotwicę koło Garad i udał się na ląd. Po krótkim czasie zabrano mnie. Landola sprzedał mnie naprawdę. Nabywca mój był dzikim handlarzem niewolników; musiałem w kajdanach iść za nim w głąb kraju, aż do Dollo. Tam sprzedał mnie komu innemu. Wędrowałem z rąk do rąk. Ostatnim mym panem był okrutny książę murzyński. Język ludzki nie potrafi opisać tego, co u niego wycierpiałem. Musiałem pracować za trzech i spełniać najgorsze, najohydniejsze posługi; maltretowano mnie i morzono głodem. Mimo tych strasznych warunków i mimo niezdrowej okolicy, wytrzymałem wszystko. Wreszcie pan mój umarł, a ponieważ spadkobierca jego nie chciał mnie zatrzymać, więc sprzedał pewnemu mieszkańcowi Harraru; człowiek ten zawlókł do sułtana i zgotował mu ze mnie podarunek.

— Od jak dawna tutaj jesteście?

— Od jakichś czternastu dni.

— Ach, dlatego was nie widziałem. Pracowałem przez ostatnie trzy tygodnie w plantacjach kawy sułtana. Cóżeście uczynili, że was wtrącono do więzienia?

— Zaledwie tu przybyłem, kazano mi się zbisurmanić.

— Ten sam los przypadł nam w udziale.

— Dręczono mnie, a gdy mimo ciągów nie chciałem wołać pomocy Mahometa, wpakowano do lochu. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Mindrello zamilkł. Czekał na odpowiedź, ale nie było jej. Stary hrabia pogrążył się w rozmyślaniach; usłyszał przed chwilą tyle, znalazł coś w rodzaju klucza do rozwiązania zagadki. Czy miał uważać to za zrządzenie Opatrzności? Czy miał odtąd wierzyć, że Bóg uratuje go od śmierci i długiej niewoli? Odruchowo złożył ręce do modlitwy i padł na kolana. Mindrello nie widział go, ale wyczuł, co się z hrabią dzieje, i całą duszą modlił się również. Nastąpiła długa pauza, po której były przemytnik rzekł:

— Zbierzmy siły i krzepmy się nadzieją, czcigodny mój panie. Bóg jest miłością, pomoże nam, ale tylko przez nas samych.

— Macie rację — rzekła hrabia, wstając z klęczek. — Musimy pomyśleć, w jaki sposób możnaby uciec.

Zaczęli rozważać wszystkie ewentualności ucieczki i przyszli do przekonania, że byłaby ona możliwa jedynie z lochu Mindrella.

Mindrelo rzekł:

— Czy nie możemy zaraz przystąpić do dzieła?

— O, bardzo chętnie. Niestety jednak, dziś jest za późno. Odkrytoby jutro naszą ucieczkę i wnet rozpoczęłoby pościg. Wtedy bylibyśmy zgubieni.

— Dobrze, zastosuję się do was, don Fernando. Ale jedno możemy uczynić już teraz. Możemy spróbować, czy się nam nie uda poruszyć kamienia, zagrażającego otwór mojej celi.

— Słuszne słowa. Jeżeli nam się to uda, będziemy przynajmniej spokojni, iż możemy w każdej chwili opuścić więzienie. Jeżeli zaś nie, będziemy wiedzieli, że trzeba sobie z więzienia utorować drogę inną.

— Więc przeleźmy do mojej celi. Pójdę pierwszy.

Hiszpan zaczął wdrapywać się po murze; hrabia uczynił to samo. Bez trudu udało im się dostać przez otwór do drugiego lochu. Loch ten miał, jak to stwierdził hrabia Fernando, tę samą szerokość i głębokość, co jego nora. Zaczęli wdrapywać się ku powale.

Pierwszy szedł Mindrelo, opierając się o jedną stronę muru plecami, o drogą zaś nogami; don Fernando postępował za nim szybciej, aniżeli by to jego wiek pozwalał przypuszczać. Na wzniesieniu półtora metra od ziemi loch skręcał w bok. Przechodził tu pod murem więziennym w tunelik nieco szerszy. Dostali się wreszcie bez specjalnych wysiłków do płyty kamiennej, zamykającej im drogę do wolności.

— No, teraz się pokaże, — rzekł Mindrelo. — Niech hrabia się zbliży; spróbujemy.

Znaleźli tutaj dla siebie dosyć miejsca, loch bowiem wznosił się nie prostopadle, a pod kątem ostrym; mogli więc znaleźć mocne oparcie i naprężyć mięśnie do poruszenia płyty. Z początku sprawa szła ciężko, ale po powtórnym uderzeniu płyta posunęła się nieco na bok, tak, że powstał nieduży otwór, przez który nasi nieszczęśni więźniowie ujrzeli gwiaździste niebo.

— Chwała niechaj będzie Bogu i wszystkim świętym! — szepnął hrabia. — Jakże cudowne jest to świeże powietrze w porównaniu z ohydny smrodem tam w dole. Mam wrażenie, jakgdyby gwiazdy uśmiechały się do nas i błogosławiły nasz plan. Czy umiecie z gwiazd odczytywać godzinę?

— Tak. Jest po północy.

— Więc za późno, by rozpocząć nasze dzieło. Jak cicho i nieruchomo dokoła.

Harrar pogrążone jest w głębokim śnie. Tam przed domem hadzi Amandana stoją jeszcze worki daktyli, które dziś otrzymał; poznają je mimo ciemności.

— Worki z daktylami? — zawołał Hiszpan. — Ach, gdybym mógł z nich coś zabrać! Przez cały dzień nic nie jadłem.

Hrabia spojrział badawczo przez otwór. Po chwili rzekł:

— Właściwie, wychodząc, popełnimy nieostrożność. Musimy jednak pamiętać o tem, że jutro czeka nas wielki wysiłek. Co do mnie, to pragnienie mam większe od głodu, a wiem, że pod dachem wisi torba skórzana, napełniona wodą.

Mindrello, czy ryzykujemy?

— Dlaczegoż nie? Któż nas spostrzeże?

— Zgoda! Podniesiemy kamień zupełnie i poczołgamy się po ziemi, aby nas nikt nie zauważył.

— Naprzód wezmę na wszelki wypadek mój nóż.

— Ach, macie nóż?

— Tak. Udało mi się przed jakimś czasem ściągnąć go niepostrzeżenie.

Mindrello zszedł nadół; po niedługim czasie wrócił, trzymając nóż w zębach.

Znowu oparli się o kamień i odsunęli go na bok. Wydobyli się teraz na powierzchnię ziemi. Przypadli do niej i zaczęli czołgać się naprzód na rękach i nogach w kierunku budynku, pod którego dachem stały worki z daktylami. Nad nimi wisiał wór z wodą, o którym mówił hrabia. Hrabia zbliżył się, chcąc ugasić pragnienie, ale towarzysz jego rzekł:

— Poco pić teraz, sennor?

— A kiedyż?

— Później. Pomyślcie, że ten wór, napełniony wodą, nam potrzebny bardziej, aniżeli hadziemu. Proponuję, byśmy go zabrali.

— O świcie wykryje się kradzież.

— Cóż to nam szkodzi? — rzekł Mindrello, zarzucając na plecy worek pełen daktyli. — Weźcie wór, sennor, będziemy mieli co jeść i pić.

Po tych słowach pomknął szybko do więzienia; hrabia, chcąc nie chcąc, musiał ponieść wodę.

Naprzód spuścili nadół daktyle i wór z wodą, potem weszli obydwaj. Na dole było dosyć miejsca na dwóch. Zaspokoili głód i pragnienie, poczem znowu wrócili na górę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza; mieli czas aż do chwili, w której mieszkańcy Harraru budzą się ze snu.



Leżeli tak przy ujściu otworu i omawiali planowaną ucieczkę; gdy daleki gwar wskazał im, że mieszkańcy miasta już wstają, umieścili płytę na właściwym miejscu i zsunęli się do lochu. Tam Mindrello zapytał:

— Czy zostaniemy razem, sennor?

— Nie — odparł hrabia. — Dopuszczilibyśmy się nieostrożności. Być może, zechcą zobaczyć którego z nas, lub pomówić z którymś. Wracam do mojej celi; wstawimy tymczasem wyłamane kamienie do ściany.

## Niewolnica

Podczas, gdy Otman, wyprawiony przez przywódcę karawany, czekał pod bramą miejską, strażnik udał się do sułtana, aby go zameldować. Wszedł do pałacu w chwili, gdy właśnie odprowadzano do więzienia hrabiego Fernanda. Przystąpił próg sali recepcyjnej; sułtan siedział wciąż jeszcze na ławce tronowej. Twarz władcy była ponura, gniew na krnąbrnego niewolnika jeszcze nie minął. Kto go znał, wiedział, że było teraz niebezpiecznie zbliżać się do niego. Prześwidrował strażnika ostrym wzrokiem i zapytał:

— Czego chcesz o tak późnej porze?

Zapytany padł na ziemię, uniósł nieco głowę i odparł:

— Przed bramą stoi goniec i domaga się, aby go wpuszczono.

— Kto go przysłał?

— Arafat, emir karawany.

— Arafat? A więc nareszcie wrócił! Kazał długo czekać na siebie, więc przekona się, czego żąda mój gniew. Kim jest goniec, którego przysłał?

— Należy do szczepu Somali.

Sułtan drżał z gniewu.

— Do szczepu Somali? i śmiesz, psie, niepokoić mnie o tak późnej porze z powodu jakiegoś tam Somali? Niech Allah będzie dla ciebie litościwy. Zbliź się!

Strażnik przyczołgał się bliżej, aż głowa jego dotknęła stóp sułtana.

— Uklęknij i odwróć się! — rozkazał sułtan.

Słowa te wskazywały biedakowi, co go czeka. Władca Harraru miał bowiem zwyczaj ostrym nożem zadawać uderzenia w kark tym, którzy wzbudzili jego

gniew. Jeżeli uderzenie trafiało w szyję, ofiara umierała i nikt nie ważył się nawet ulitować nad jej losem. Jeżeli jednak cios omijał szyję, trafiony uchodził wprawdzie z życiem, ale też z raną bolesną, po której pozostawało zwykle pewne zesztywnienie karku. W Harrarze i w okolicy spotykało się wielu ludzi o sztywnych szyjach; było to pamiątką po gniewie uprzejmego władcy, który życie swych poddanych cenił mniej, niż życie pierwszej lepszej muchy.

Strażnik ukląkł, zamknął oczy i wystawił kark. Sułtan wyciągnął swój jatagan, zamierzył się i uderzył. Uderzenie było takie silne, że wiązania szyji pękły. Głowa strażnika spadła z korpusu, ciało runęło na ziemię, strumień krwi trysnął z rany.

— Taki los musi spotkać wszystkich, którzy są nieposłuszni — zawołał sułtan. Wnet potem zapytał kata, który powrócił właśnie z więzienia:

— Czy w pewnym miejscu umieściłeś jeńca?

— Tak, panie, — odparł kat, padając plackiem przed władcą. — Zepchnąłem go do najgorszego lochu. Będzie miał straszną przeprawę ze szczurami.

— Doskonale! Jesteś posłusznym służką, więc nie minie cię nagroda. Zajmiesz miejsce strażnika. Urząd twój rozpoczyna się od tej chwili. Idź przed bramę i powiedz temu przekłętemu Somali, by go Allah potępił. Niechaj wraca do swego pana i zamelduje, iż oczekuję jego podarków w dwie godziny po nastaniu świtu. O tak późnej porze nie może być wpuszczony żaden mieszkaniec Harraru, a co dopiero Somali.

— Czy mam wpuścić emira, skoro się zbliży z podarunkami?

— Nie. Pomyślałby, że się nie mogę doczekać. Niech stoi pod bramą ze swoimi ludźmi przez całą godzinę. I tak okazuję temu psu zaszczyt niezasłużony, że mu wogóle pozwalam wejść w mury miasta.

Otman, oczekujący przed brama, był przekonany, że go wpuszczą, to też zdziwił się niepomiernie, gdy rzekł doń kat, który zaawansował na strażnika:

— Wróć do swego pana i powiedz, że żaden Somali nie zostanie wpuszczony.

— Allah jest wielki! A dlaczegoż to?

— Bo sułtan pogardza szczepem Somali. Strażnik, który pytał, czy cię można wpuścić, poniósł za to śmierć. Jestem jego następcą.

— Powiadasz, że mam wrócić do swego pana? Powiadasz, że sułtan pogardza szczepem Somali? — pienił się Otman za bramą. — A czy wiesz o tem, że nie mam pana? My, Somali, jesteśmy wolnymi ludźmi, a wyście nikczemnymi parobkami i niewolnikami. Życie wasze należy do tyrana; zabiera je, gdy mu na to

przyjdzie ochota. Powiada, że nami pogardza. Ale mimo to, kupuje nasze towary i targuje się z nami jak Jehudu, jak Żyd. Bądź zdrów, niewolniku swego kata!

Po tych słowach Otman wsiadł na wielbłąda i odjechał.

Wkrótce miasto pogrążyło się we śnie. Spali wszyscy, z wyjątkiem naszych dwóch jeńców i rodziny zabitego strażnika. —

Następnego ranka, w dwie godziny po nastaniu świtu, przybył do nowego strażnika goniec sułtana.

— Czy karawana handlowa jest już tutaj? — zapytał.

— Nie — odparł strażnik.

— Masz zjawić się przed sułtanem.

Strażnik zbladł na wiadomość, że ma stanąć przed władcą. Musiał jednak usłuchać rozkazu.

Sułtan siedział już na swym drewnianym tronie. Strażnik padł plackiem, aby wysłuchać słów władcy. Obok sułtana stało kilku dygnitarzy.

— Czy emir Arafat przybył z podarunkami? — brzmiało pytanie.

— Jeszcze nie, panie...

— Dlaczego ten pies zwleka? Czy nie powiedziałaś jego gońcowi ze szczepu Somali, że oczekuję go w dwie godziny po wschodzie słońca?

— Nie, nie starczyło mi czasu, aby to powiedzieć, — odparł strażnik, drżąc na całym ciele.

— Dlaczego, ty psie, ty psi synu? — ryknął władca.

— Odjechał tak prędko...

— Więc przez ciebie mam czekać? Więc dlatego mianowałem cię strażnikiem? Allah jest wielki i sprawiedliwy. Co człowiek daje, to otrzymuje zpowrotem. Jako kat wielu ludzi pozbawiłeś życia; teraz rozstanieś się ze swoim. Chodź tutaj.

Powtórzyła się scena z poprzedniego wieczora. W kilka chwil później strażnik leżał na ziemi z przebitą szyją. Następca jego pośpieszył ku bramie, otrzymawszy klucze z rąk sułtana.

Sułtan był wściekły. Oświadczył wprawdzie, że pogardza szczepem Somali, ale mimo to wyskakiwał ze skóry, czekając kiedy mu przedstawiciele tego szczepu przyniosą podarki.

Emir zameldował się dopiero w południe. Sułtan nie kazał mu czekać przed bramą, jak to sobie postanowił wczoraj, lecz wydał rozkaz wpuszczenia natychmiast i wprowadzenia do pałacu.

Przywódca karawany zjawił się wkrótce. Towarzyszyło mu pięciu ludzi, którzy eskortowali silnie objuczonego wielbłąda. Wielbłąd ten niósł podarunki dla sułtana. Przejęli je ludzie władcy Harraru. Teraz mógł emir wraz z towarzyszami zjawić się przed sułtanem; musieli wszyscy odłożyć broń i zdjąć obuwie.

Władca przyjął ich obcesowo:

— Dlaczego nie padacie na kolana? — zawołał.

— Padamy na kolana tylko przed Allahem — odpowiedział dumnie emir. — Jesteśmy wolnymi ludźmi i nie modlimy się do żadnego człowieka.

— Dlaczego przybywasz tak późno?

Pytał tonem tak brutalnym, że emir odparł z gniewem:

— Bo mi się tak podobało.

— Powinieneś postępować według mojej woli, a nie według swoich upodobań! Czy wiesz, że z twego powodu zabiłem dwóch strażników?

— Nie moja to wina. Przyszedłem tutaj jako kupiec, a nie jako kłótnik, i nie poto, abyś mnie obrażał.

— Usta masz zuchwałe. Czy cię obraziłem?

— Kto dokucza gońcowi, ten dotyka również i pana tego gońca. Powiedz, czy chcesz przyjąć moje podarki i czy chcesz ubić interes ze mną. Jeżeli nie, odjeżdżam.

— Co mi przynosisz tym razem?

— Jedwabie i chusty, miedź, ołów, żelazo, proch, papier i cukier.

— A czego chcesz wzamian za to?

— Kości słoniowej, tytoniu, kawy, szafranu, masła, miodu i gumy.

— Zobaczę. Pokażcie podarki.

Wyłożono przed sułtanem dary, ofiarowane przez emira, jako zachętę do interesu. Składał się na nie proch strzelniczy, piękne szaty i galanterja z żelaza. Sułtan zapalił się specjalnie do trzech rewolwerów, które zobaczył.

— Ta broń jest bardzo pożyteczna — rzekł. — Wiem, jak się z nią obchodzić; wiem również, że w braku amunicji staje się bezużyteczna. Był tu raz jeden Anglik, który mi darował pistolet. Nauczył mnie, jak się z nim obchodzić; zaledwie jednak odjechał, wyczerpały się naboje i broń straciła wartość.

— Mam dużo nabojów — odparł Emir. — Mogę je wszystkie sprzedać.

— Co? Mam kupować? — zapytał sułtan. — Darowujesz mi broń, a naboje

każesz kupować? Czy nie wiesz o tem, że naboje należą do rewolweru?

— Wcale nie. Musiałem zapłacić za nie w Adenie moc pieniędzy. Mam jeszcze inne naboje do dwóch pięknych strzelb, które mogę sprzedać. Takich strzelb jeszcze tu nie było; są to dwururki wyrobu amerykańskiego.

— Przynieś je! — rozkazał sułtan.

— Przyniosę z innymi towarami, skoro mi tylko powiesz, żeś zadowolony z podarków, i że możemy rozpocząć nasz targ.

Sułtan obrzucił raz jeszcze dary chciwym wzrokiem i odparł:

— Jestem najpotężniejszym władcą wszystkich krajów. Tak wielki sułtan nie zasługuje na tak mamy haracz, ale Allah jest litościwy, więc i ja chcę być łaskawy. Przynieś, co masz. Najpierw ja poczynię zakupy, później niechaj kupują moi ludzie.

— Idę, ale mylisz się, twierdząc, że nic nie mam godnego ciebie. Mam coś, czego nie posiada żaden książę, żaden sułtan.

— Cóż to takiego?

— Niewolnicę.

— Wszystkie kobiety, czy to matki, czy córki, do mnie należą i mogę wśród nich wybierać wedle upodobania.

— Masz rację. Ale takiej dziewczyny, jaką ja przywiozłem, niema w całym Harrarze.

— Czy to Nubijka?

— Nie.

— Abisynka?

— Także nie.

— A więc?

— Należy do rasy białej — odparł emir bardzo dobitnie.

Sułtan zatoczył ruch radosnego zdumienia.

— Na Allaha! Więc to Turczynka!

— Nie. Turczynka kosztowałaby najwyżej pięćset talarów, niewolnica zaś, którą chcę sprzedać, jest warta tyleż tysięcy.

Sułtan zerwał się z ławki i zawołał:

— A więc jest białą chrześcijanką, niewierną?

Trzeba pamiętać, że w stronach tych europejską niewolnicę uważano za skarb

niesłuchanie cenny, trudny do opłacenia.

— Tak — odparł emir. — To chrześcijanka.

— Czy jest bardzo biała?

— Jak kość słoniowa.

— Piękna?

— Żadna rajska huryska nie może się z nią porównać.

— Niska?

— Przeciwnie, wysoka i zgrabna, jak palma, która rodzi złote owoce.

Widać było, że chciwość sułtana rośnie z każdą chwilą.

— Opisz ją — rozkazał. — Jakie ma ręce?

— Drobne i delikatne, jak u dziecka; paznokcie jej błyszczą, jak liście róży, jak pierwszy sen jutrzejki.

— A usta?

— Wargi ma jak granaty; zęby lśnią wśród nich jak perły. Kto ją całuje, temu grozi niebezpieczeństwo zapomnienia o życiu, o świecie, o samym sobie.

— Na Allaha, całowałaś ją! — zawołał sułtan, tak zazdrosny, jakby niewolnica należała już do jego haremu.

Emir z trudem krył uśmiech zadowolenia, Zorientował się, że będzie mógł towar swój zaciąć wysoko.

— Mylisz się — odparł. — Jeszcze żaden mężczyzna nie pocałował ust tej dziewczyny.

— Czy jesteś tego pewien?

— Ręczę. Trudno całować, gdy nikt z nią mówić nie może.

— Na Allaha! Czy głuchoniema?

— Nie. Mowa jej brzmi jak śpiew słowika, ale mówi językiem, którego u nas nikt nie rozumie.

— Cóż to za język?

— Tego nie wiem; nigdy go nie słyszałem przedtem. Słyszałem, jak mówią Arabowie, Somali, mieszkańcy Harraru, Indusi, Malajczycy, Turcy, Francuzi i Persowie, ale nikt z nich nie mówił tak, jak ta dziewczyna.

— Skąd ją wzięłeś?

— Spotkałem na Ceylonie Chińczyka, handlarza dziewcząt. Dałem za tę dziewczynę dużo pieniędzy; przeznaczyłem ją dla ciebie.

— Idź i sprowadź niewolnicę wraz z resztą towaru.

Emir oddalił się ze swymi ludźmi, aby spełnić rozkaz sułtana. Tymczasem dla parady powieszono w sali tronowej rewolwer. Gdy wszyscy obecni oddalili się na rozkaz władcy, sułtan zaczął pozostałe skarby znosić osobiście do skarbcza.

Wiadomość o przybyciu karawany handlowej wyciągnęła mieszkańców z domów; ale plac przed pałacem sułtana był pusty. Wiedziano o tem, że ludność mogła rozpocząć zakupy dopiero wtedy, gdy pan je skończy. Wiedziano i o tem, że wszelki pośpiech w tym względzie mógłby kosztować życie.

Po niedługim czasie emir wraz z ludźmi swymi i wielbłędami przekroczył bramę; minawszy przepaściste uliczki, zatrzymał się przed pałacem. Tu zdjęto ciężary z pleców zwierząt; zostawiono chwilowo tylko wielbłąda, który dźwigał na sobie lektykę. Rozpostarto wielkie dywany i rozłożono na nich towary. Zjawił się sułtan, by je obejrzeć. Był sam; nikogo nie dopuszczał do siebie, gdy czynił zakupy.

— Gdzie niewolnica? — zapytał.

— Tam, w atuszy — odpowiedział emir.

— Chcę ją widzieć.

Kupiec opornie potrząsnął głową i rzekł:

— Naprzód martwy towar, później żywy.

Sułtan odparł z gniewem:

— Jam władcą w Harrarze. Należy mnie słuchać. Chcę ją widzieć!

— Władcą moich rzeczy jestem ja sam! — rzekł Arafat, niezbity z tropu. — Kto kupi dużo towaru, ten będzie mógł zobaczyć niewolnicę — nikt inny. Jeżeli nie będę mógł rozporządzać swoją własnością wedle mej woli, odjadę.

— A jeżeli cię zatrzymam? — rzekł groźnie sułtan.

— Mnie zatrzymać? Mnie wziąć do niewoli? — zawołał emir, cofając się o krok.

— Tak, ciebie.

— Tysiące Somali i Arabów przyjdą i uwolnią mnie.

— Znajdą tylko twego trupa. Otwórz lektykę!

— Nie teraz; później.

— Dowiodę ci, że jestem tu władcą.

Po tych słowach postąpił kilka kroków ku lektyce. Emir zagroził mu drogę i rzekł groźnie:

— Wiem, żeś ty potężniejszy ode mnie. Nie mogę cię uderzyć, ale mam prawo rozporządzać swoją własnością, jak mi się podoba. Jeżeli otworzysz lektykę i spojrzysz na niewolnicę, palnę jej prosto w łeb.

Wyciągnął pistolet i położył rękę na cynglu. Sułtan zmiarkował, że emir mówi poważnie, ustąpił czem prędzej.

— Spełnię twą wolę, — rzekł — ale ostrzegam, abyś nie wystawiał mojej pobłażliwości na nową próbę, bo inaczej srodze pożałujesz. Pokaż rzeczy!

Niewielką zwracał uwagę na towary; był bowiem cały pochłonięty myślą o dziewczynie. Decydował się szybko i targował mało. Zapomniał dopiero o niewolnicy na widok obydwóch dwururek; kupił je drogo wraz z całym zapasem amunicji. Suma, którą miał zapłacić, była znaczna, nie została jednak wypłacona odrazu, gdyż emir miał również zabrać nieco towaru; wyrównanie więc różnicy odłożono na później.

Kupiec był bardzo zadowolony z rezultatów transakcji. Osiągnął sumę o wiele wyższą, niż się spodziewał. Dlatego nie opierał się już dłużej, gdy sułtan zaczął ponownie nalegać, aby mu pokazał dziewczynę. Arafat zażądał tylko, iżby ceremonia odbyła się wewnątrz pałacu.

Sułtan klasnął w dłonie. Zjawiała się służba, której polecił zabrać kupione towary. Czterech pachotków zdjęło lektykę z pleców wielbłąda i zaniósło ją do sali przyjęć. Gdy sułtan został w sali sam z emirem, rzekł doń:

— Teraz otwieraj!

Emir odsunął firanki; ujrzeli postać kobiecą, ubraną w białe, delikatne szaty. Twarz była zasłonięta podwójnym welonem.

Sułtan rozkazał emirowi zdjąć welon. Ujrzał teraz twarz tak białą, tak delikatną i piękną, jakiej nie widział jeszcze nigdy w życiu. Policzki dziewczyny były niezwykle blade. Sułtan zerwał się, zdecydowany na zatrzymanie tej cudnej istoty.

Zawołał tonem rozkazującym:

— Niech wyjdzie z lektyki! Muszę widzieć jej postać.

Emir dał znak niewolnicy; gdy go nie zrozumiała, czy też zrozumieć nie chciała, ujął ją za rękę i wyciągnął.

Stała teraz wysoka i smukła, cała drżąca ze wstydu, a jednak wyniosła jak księżniczka.

Sułtan wypłacił emirowi za piękną niewolnicę sumę pięciu tysięcy aszrafów, to



jest około czterystu funtów. Gdy emir oddalił się, złożony władcy głęboki, nieco ironiczny ukłon, sułtan ujął niewolnicę za rękę i przeprowadził ją przez kilka komnat, jeśli je można tak nazwać. Potem otworzył jakieś zaryglowane drzwi i wszedł do obszernego pokoju, który zamiast okna miał niewielki, wąski otwór, przepuszczający bardzo mało światła. Trzy ściany pokoju obstawione były skrzyniami, powiązanymi mocno sznurami. Z sufitu zwisała napełniona oliwą czara; wyglądało z niej kilka knotów. Pokój ten był skarbcem sułtana; na ścianach wisiała kosztowna broń i bogata odzież. Pod czwartą ścianą stała obita dywanem perskim otomana, jakgdyby przeznaczona dla piękności tak szczególnej, jak obecna niewolnica sułtana.

Gestem ręki polecił jej, aby usiadła. Usłuchała. Zaczął wypytywać w najrozmaitszych znanych sobie dialektach; odpowiadała tylko kiwaniem głowy.

— Nie zrozumie — rzekł wreszcie sam do siebie. — Ale znajdę sposób porozumienia się z nią. Jest chrześcijanką. Chrześcijaninem jest również niewolnik, którego wczoraj wrzuciłem do lochu. Twierdzi, że był księciem. Mówi z pewnością wszystkimi językami niewiernych; niechaj więc będzie moim tłumaczem. Chcę jej powiedzieć, że nie jest u zwykłego mieszkańca Harraru, a u władcy tego kraju.

Rozwiązał teraz wszystkie kosze i paki. Niewolnica ujrzała ku swemu zdumieniu nawałę złota i srebra, monet i kruszców; była przekonana, że się dostała do najbogatszego człowieka w kraju. Chociaż wśród skarbów znajdował się nie jeden przedmiot, który w Europie nie jest wart grosza, ale w Harrarze były to perły urjańskie. Wystarczył powierzchowny rzut oka, aby przekonać się, że nagromadzono tu skarby milionowej wartości.

Sułtan zaprowadził białą niewolnicę do swego skarbcza dla bardzo określonych powodów. Przedewszystkiem chciał olśnić ją bogactwami, następnie pragnął nasycić się jej krasą. Aby uniknąć swarów i ataków zazdrości, nie zabrał jej do swych odalisek.

Wreszcie wyszedł i przyniósł osobiście białej dziewczynie jadła i napoju, potem zaś, schowawszy skarby, oddalił się, ponieważ musiał doglądać swych ludzi, gdy rozdzielali między siebie zakupiono towary; chciał również starego kata, który pełnił funkcje dozorczy więziennego, posłać po chrześcijanina — niewolnika. —

Don Fernando ślęczał w lochu i myślał o planowanej na wieczór ucieczce. Tkwił w bardzo niewygodnej pozycji; nie mógł położyć się wskutek ciasnoty, usiąść zaś bał się z powodu trupów szcurzych, które zalegały podłogę. Musiał stać, co go

wyczerpywało.

Wiedział, że trwać to będzie tylko do wieczora. Jak strasznie musieli się czuć jeńcy, skazani na przebywanie wśród robactwa, oczekujący śmierci, bez promyka nadziei, wiary, pociechy!

Było według jego obliczeń południe; nagle usłyszał jakiś szmer. Odsunięto kamień, zamykający wejście do celi. Jakiś głos zapytał:

— Czyś ty stary niewolnik — chrześcijanin?

— Tak — odparł.

— Sułtan chce z tobą mówić. Czy szczury uszanowały cię do tego stopnia, że możesz jeszcze chodzić?

— Spróbuję — odparł ostrożnie.

— Więc chodź na górę; spuszczę ci drabinę.

Hrabia namacał drabinę. Był to właściwie pień drzewa, w którym wydrążono wgłębienia na ręce i nogi. Wydostał się po nich na górę.

Jakie szczęście, że się rozłączył z Mindrellem! Na górze znalazł się w gołej, kamiennej sali, w której bytowało około dwudziestu skutych łańcuchami jeńców. Zorientował się, że ludzie ci musieliby w każdym razie zauważyć jego ucieczkę z celi; ponadto mocne drzwi zaopatrzono od zewnątrz rygłem, który odbierał wszelką nadzieję ucieczki. Dlatego Bogu dziękował w skrytości ducha, że pozwolił mu spotkać Mindrella, z celi którego można się było wydostać wprost na swobodę.

Dopiero w świetle dnia zobaczył, jak strasznie pogryzły go szczury. Ciało miał pokryte ranami, koszulę całą w strzępach. Paliła go ciekawość, czego też chce sułtan.

Zastał władcę w sali przyjęć. Sułtan wiercił się niespokojnie, jakgdyby miał za chwilę odejść. Pytanie jego zdziwiło jeńca.

— Czy wiesz, iloma językami mówią niewierni?

— Języków tych jest bardzo wiele — odparł don Fernando.

— Czy znasz je?

— Tylko najgłośniejsze. My, chrześcijanie, mamy kilka języków, które znają wszyscy ludzie wykształceni, choć nie są ich mową rodzinną.

— Słuchaj więc, co ci powiem. Kupiłem niewolnicę, która należy do plemienia niewiernych. Mówi językiem nikomu tutaj nieznanym. Zaprowadzę cię do niej, byś spróbował, czy ją zrozumiesz. Jeżeli ci się uda zostać tłumaczem, spadnie na ciebie blask mej łaski i nie zginiesz w więzieniu. Będiesz ją uczył mojego języka,

ażeby mogła ze mną rozmawiać. Nie wolno ci jednak widzieć jej twarzy i nie wolno powiedzieć nic złego o mnie, bo zginiesz.

— Jestem twoim sługą i będę posłuszny — odparł hrabia, składając korny ukłon.

Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę. Niewolnica chrześcijanka? Azjatka, czy Europejka? Jakim językiem mówi? Będzie się musiał rozstać z Hiszpanem. Może lepiej udawać, że nie rozumie języka niewolnicy? A może nadarzy się sposobność do spełnienia dobrego uczynku?

— Chodź ze mną! — rzekł sułtan.

Hrabia podążył za nim. Gdy doszli do skarbcza, władca odryglował drzwi i wszedł do komnaty, by zasłonić twarz niewolnicy. Dopiero teraz hrabia przestąpił próg, a sułtan zamknął za nim drzwi.

Don Fernando obrzucił pokój badawczym, czujnym wzrokiem. Uprzytomnił sobie odrazu, że w pakach i koszach mieszczą się bogactwa sułtana.

Niewolnica leżała na otomanie; twarz miała zasłoniętą podwójnym welonem, przez który mogła patrzeć, sama nie będąc widziana. Gdy hrabia wszedł, odwróciła twarz i drgnęła; widać spotkanie z nim było dla niej ogromną niespodzianką.

— Mów z nią — rozkazał sułtan. — Może zrozumiesz jej mowę.

Don Fernando postąpił kilka kroków w kierunku niewolnicy. Z okna padło nieco więcej światła na jego twarz. Kobieta nie mogła ukryć ponownego odruchu zdumienia. Sułtan zauważył to, tłumaczył sobie jednak zdziwieniem, iż pozwolono mężczyźnie ją odwiedzić.

— Quelle est la langue, laquelle vous parlez, mademoiselle? — Jaki jest pani język ojczysty? — Zapytał po francusku.

Uniosła głowę na dźwięk tych słów, ale wahała się odpowiedzieć, zapewne z nadmiaru radości. Przypuszczając, że niewolnica nie rozumie po francusku, don Fernando zapytał po angielsku:

— Du you speak english perhaps, miss? — Może pani mówi po angielsku?

— Benito sea Dios! — odparła wreszcie po hiszpańsku. — Rozumiem po angielsku i po francusku, ale mówmy po hiszpańsku.

Teraz z kolei zdumiał się don Fernando. Nieszczęście nauczyło go jednak panowania nad sobą; zapytał, nadając swoim słowom ton obojętny:

— Na Boga, pani — Hiszpanką? Niech pani zachowa spokój.

Nie zdradźmy się! Musimy być ostrożni.

— Będę posłuszna ostrzeżeniu pana, choć przyjdzie mi z trudnością, — odparła.

— Na Boga, czy to możliwe, czy mnie oczy nie mylą? Tak, musimy panować nad sobą. Ale co za radość, co za szczęście, jeżeli się przypadkiem nie mylę!

— Co ma pani na myśli, sennorito? — pytał, zaintrygowany.

— Jestem nietylko Hiszpanką, lecz i Meksykanką — odparła.

Teraz hrabiemu trudno było zapanować nad sobą; przemógł się jednak i odparł równomiernym głosem:

— Meksykanką! Sennorito, muszę uważać, gdyż czujne oko tyrana jest na nas skierowane; zapewniam panią jednak, że tylko z trudem mogę zapanować nad swymi uczuciami.

Przecież i ja jestem również Meksykaninem!

— Santa Madonna! A więc się nie mylę. Twarz wydaje mi się znana, jak również głos. Jesteś sennor naszym drogim, kochanym don Fernandem de Rodriganda, nieprawdaż?

Starzec panował nad sobą nadludzkim wprost wysiłkiem.

Mimo to głos jego zadrżał, gdy zapytał:

— Znacie mnie, sennorito? Kimże jesteście?

— Nazywam się Emma Arbellez; jestem córką waszego dzierżawcy Pedra Arbelleza.

Nastąpiła długa pauza; przez serca obojga przeszła cała fala uczuć; spotkali się tutaj jakby cudem. Hrabia nie mógł rozpoznać rysów twarzy Emmy, usłyszał tylko, że głos jej załamał się przy ostatnich słowach. Płakała. I don Fernando nie potrafiłby zapewne opanować cisnących się do oczu łez, gdyby sułtan nie przerwał brutalnie:

— Jak widzę, rozumiesz jej mowę. Jakiż to język?

— Pochodzi z kraju, którego tutaj nikt nie zna.

— Jak się nazywa ten kraj?

— Hiszpanja.

— Nie znam nazwy. Musi to być jakiś mały, nędzny kraik.

— Przeciwnie; kraj to duży, należy do niego dużo wysp, które rozsiane są po wszystkich morzach świata.

— Czy kraj ten ma sułtana?

— Nie; tylko potężnego króla, który sprawuje rządy nad milionami

mieszkańców.

Sułtan uśmiechnął się z powątpiewaniem. Nie słyszał nigdy nazwy Hiszpanja i dlatego uważał słowa hrabiego za blagę.

— Co powiedziała niewolnica? — zapytał.

— Że cię cieszy, iż właśnie ty ją kupiłeś.

Rozpogodziła się twarz sułtana.

— Jakiego jest rodu?

— Ojciec jej był jednym z najdostojniejszych ludzi w kraju.

— Tego się domyślałem. Jest bardzo piękna. Jest piękniejsza od kwiatu i jaśniejsza od słońca. W jakiż sposób dostała się w ręce emira?

— O tem nie mówiliśmy jeszcze. Czy mam ją zapytać?

— Zapytaj! Powtórzysz mi później.

Hrabia zwrócił się do Emmy z pozornym spokojem i rzekł:

— A więc to ty, droga Emmo! Boże, w jakim stanie mnie spotykasz! Ale zostawmy to. Sułtan chce wiedzieć, jak się tutaj dostałaś. Muszę mu odpowiedzieć.

— Jak się dostałam? Przecież nawet nie wiem, gdzie jestem.

— Kraj ten zwie się Harrar, tak samo nazywa się i miasto, w którym jesteśmy. Przed nami stoi sułtan, władca tego kraju. Ale odpowiedz naprzód na moje pytanie.

— Pirat chiński porwał mnie na Ceylon. Tam zostałam sprzedana człowiekowi, który dostarczył mnie tutaj.

— W jaki sposób dostałaś się w ręce Chińczyków.

— Płynęłam na tratwie po szerokim morzu przez szereg dni. Wreszcie zabrał mnie holenderski statek, który koło Jawy wpadł w ręce chińskiego handlarza niewolnikami.

— Na tratwie? Jestem zdumiony. Jak się dostałaś na morze?

Czy to w pobliżu Meksyku?

— Nie; byliśmy wszyscy na odległej wyspie.

— Wszyscy? O kim mówisz, Emmo?

— No, wszyscy, sennor Sternau, Mariano, obydwaj bracia Ungerowie, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Karja, siostra Miksteki.

— To dla mnie same zagadki. Jedno tylko nazwisko! mnie zastanawia: Sternau.

Któż to taki?

— Nie znasz go, hrabio? Ach, radość z powodu i spotkania sennora odebrała mi pamięć. Zapominam, że nic panu o tem wszystkim, co zaszło, niewiadomo. Sennor Sternau wyruszył z domu, by odszukać ciebie, hrabio, i kapitana Landolę.

— Na Boga, a więc to ten sam człowiek, o którym mi wczoraj opowiadał Mindrello! Powiedz, to lekarz i bratanica moja, Roseta, jest jego żoną nieprawdaż?

— Tak.

— Operował mego brata i przywrócił mu wzrok?

— Tak. Ale skąd wie pan o tem wszystkim, don Fernando?

— Dowiesz się później. Patrz, sułtan się niecierpliwi. Jak dawno już temu opuściłaś kraj ojczysty?

— Szesnaście lat — odparła.

Córka hacjendera zmieniła się niewiele w przeciągu tych wielu, bądź co bądź, lat. Tu, w Harrarze, gdzie ludność, zwłaszcza kobiety, starzeją się niezwykle szybko, Emma mogła uchodzić za dwudziestoletnie dziewczę. Odpowiedź jej wywarła na don Fernandzie ogromne wrażenie. Stał z otwartymi ustami w milczeniu. Dopiero po długiej chwili zapytał:

— Szesnaście lat? Gdzieżeś była przez ten cały czas?

— Na wyspie.

— Na jakiej wyspie, Emmo?

— Ach, zapominam ciągle, że pan o tem wszystkim nie może mieć nawet pojęcia. Landola wziął nas w Guaymas do niewoli i umieścił na odludnej wyspie Oceanu Wielkiego, gdzie żyliśmy przez ten cały czas.

— Mój Boże, to niesłychane, zdumiewające!

W tym momencie sułtan przerwał. Przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, wreszcie znudziło mu się to i rzekł:

— Nie zapominaj, że czekam na odpowiedź. Cóż ci takiego opowiedziała?

— Powiada, że podczas spaceru po morskiem wybrzeżu, schwytał ją i wziął do niewoli jeden z chińskich piratów.

— I sprzedał ją później na Ceylonie emirowi?

— Tak.

— A więc powiedział mi prawdę. Czy jest kobietą, czy dziewczyną?

— Dziewczyną.

— Dobrze. Czy powiedziała coś o mnie?

Hrabia skłonił się głęboko i rzekł:

— Jestem twym posłusznym sługą i przede wszystkim myślę o tobie, o sułtanie. Dlatego postanowiłem skierować oczy jej na ciebie i zapytać, co serce jej powiada na twój widok.

Twarz władcy wyrażała w tej chwili błogość i zaciekawienie zarazem. Poglądził się po brodzie i zapytał tonem, zdradzającym dobry humor:

— Cóż ci odpowiedziała?

— Odpowiedziała, że jesteś pierwszym wogóle mężczyzną, na którego widok serce jej coś mówi.

— A dlaczego?

— Albowiem twarz twoja pełna dostojności, oko pełne siły i wyrazu. Chód twój dumny, a sam tyś poważny jak kalif. Oto jej słowa.

— Jestem z ciebie bardzo zadowolony, mój niewolniku, tak samo jak i z niej. Sądzisz więc, że odda mi swoje serce i nie będę zmuszony zdobywać go siłą?

— Mężczyzna nigdy nie powinien zdobywać siłą miłości kobiety. Powinien patrzeć na nią pobłażliwie i łagodnie, a wtedy miłość wystrzeli sama, jak roślina pod wpływem promieni słońca.

— Niewolniku, masz słuszność. Okażę jej wiele łaskawości.

— Czy wiesz, o władco, że miłość naprzód powinna się przyoblec w słowa, zanim wyrodi się w czyny? Niewolnica ta tęskni za chwilą, kiedy będzie mogła pomówić z tobą w ojczystym twoim języku; chce powiedzieć ci sama, co czuje jej dusza.

— Niechaj życzeniu temu stanie się zadość. Mianuję cię jej nauczycielem. Kiedy będzie mogła mówić ze mną?

— To zależy, kiedy będę mógł rozpocząć nauki, oraz ile godzin dziennie trwać będą.

— Ta dziewczyna zawładnęła całym mem sercem; wprost doczekać się nie mogę, kiedy mi sama powie, że chce być moją żoną. Dlatego rozkazuję ci przystąpić do nauczania dzisiaj.

— Będę posłuszny, o panie!

— Czy trzy godziny dziennie wystarczą, niewolniku?

— Jeżeli będę mógł z nią mówić trzy godziny dziennie, za tydzień niewolnica powie ci, że doznasz szczęścia. Ale kobiety takie, jak ona, nie przywykły do

widoku mężczyzn nieodzianych. W takim stroju, jak mój...

— Będziesz miał inną odzież, znacznie lepszą, i nie powrócisz już do lochu. Otrzymasz, ile chcesz, mięsa, ryżu i wody, abyś lepiej wyglądał.

— Dzięki ci, panie. Czy mam dziś rozpocząć?

— Skoro się tylko przebierzesz. Nie mam czasu przy nauczaniu asystować. Wyznaczę eunucha, który was będzie strzegł. Chodź, niewolniku!

— Czy mogę powiedzieć jej, co łaska twoja postanowiła?

— Powiedz.

Hrabia był zadowolony, iż mu się tyle udało uzyskać. Zwrócił się do Emmy i rzekł:

— Niestety, muszę teraz odejść; wkrótce będziemy mogli pomówić obszernej. Sułtan pozwolił mi uczyć sennoritę jego języka. Codzień będziemy spędzali trzy godziny razem. Musimy być cierpliwi. Przedewszystkiem jednak pragnę cię uspokoić tem, że ratunek jest możliwy. Miałem zamiar uciec stąd dzisiaj wieczorem. Może plan ten jeszcze się powiedzie.

Po tych słowach udał się za sułtanem, który wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi; jednemu ze służących polecił zdjąć łańcuchy z nóg więźnia, odziać go porządnie i dbać o to, aby otrzymywał pożywną strawę. Gdy hrabia przebrał się i posilił solidnie, sułtan kazał go zawezwać do siebie.

Władca zaprowadził don Fernanda do skarbcza i zamknął za nim drzwi. Nie przeczuwał nawet, na czem będzie polegała lekcja.

Don Fernando zastał Emmę na tem samym miejscu, co przedtem, mocno zawoalowaną. Naprzeciw niej siedział czarny eunuch.

Murzyn wiedział, że starzec jest niewolnikiem; podniósł się na jego widok i rzekł wyniośle:

— Masz być jej nauczycielem?

— Tak — odparł hrabia krótko.

— Ale pozostanie pod welonem.

— Oczywiście.

— Nie masz prawa jej dotknąć.

— Ani mi to w głowie.

— I nie masz prawa mówić z nią nic złego o nas, inaczej powiem sułtanowi.

— Skąd będziesz wiedział, czy mówię coś dobrego, czy złego? Nie rozumiesz



przecież języka, w którym mówimy.

— Wyczytam to z twojej miny.

Murzyn nie był tak głupi, jak wyglądał. Rozłożył obok niewolnicy koc i rzekł do hrabiego:

— Oto twoje miejsce. Tak rozkazał sułtan. Siadaj i zaczynaj!

— Jak długo ma trwać lekcja? — zapytał hrabia.

— Trzy godziny.

— Jakże to określisz?

— Zapomocą tego oto zegara.

Eunuch wyciągnął z fałdów swego ubrania klepsydrę piaskową. Don Fernando rozpoczął:

— A więc, droga Emmo, możemy mówić teraz ze sobą przez trzy godziny; nikt nas nie rozumie i nikt nam nie będzie przeszkadzał. Musimy tylko uważać, aby dla tego czarnego rozmowa nasza była lekcją. Dlatego rzucę od czasu do czasu jakiś harrarski wyraz, który będziesz musiała powtórzyć.

Zresztą, możemy być nieco mniej ostrożni, aniżeli w obecności sułtana. Żyliście zatem przez szesnaście lat na bezludnej wyspie?

— Tak; gdy nas na nią wysadzono, była bezludna i goła. Udało się nam jednak zalesić ją nieco. Cały nasz wysiłek szedł w tym kierunku, by otrzymać drzewo na łódkę, czy tratwę.

— Opowiadaj, opowiadaj! Umieram z ciekawości, co się stało z wami i z moimi.

Emma zaczęła mówić. Opowiadanie to przejęło hrabiego do głębi i wyjaśniło mu wiele rzeczy. Uświadomił sobie, jakim zdrajcą był Cortejo, upewnił się, że Alfonso nie jest jego bratankiem. Z chęcią uwierzył w to, iż Mariano jest zamienionym chłopcem. Podczas, opowiadania Emmy musiał wrażenia swe opanowywać niemal siłą; przecież grał rolę nauczyciela. Gdy Emma skończyła, don Fernando powiedział głośno kilka słów w narzeczu sułtana i, wytłumaczywszy znaczenie, kazał się ich nauczyć napamięć. Słowa te brzmiały: — jesteś wielkim władcą; jesteś rozkoszą kobiet; widok twój napełnia radością mą duszę; bądź litościwy, a pokocha cię me serce.

Emma doszła w swem opowiadaniu do chwili, w której wylądowali na wyspie.

— Gdzie leży ta wyspa? — zapytał hrabia.

— O tem nie mieliśmy pojęcia — odpowiedziała córka hacjendera. — Dopiero po upływie wielu lat udało się Sternauowi z obserwacji gwiazd i innych znaków, które

mi nie są znane, ustalić, że jesteśmy na czterdziestym stopniu szerokości geograficznej, o jakie dwadzieścia dwa stopnie na zachód od południka Ferro. Sternau oświadczył, że znajdujemy się o trzynaście stopni na południe od wysp Oстера, i że moglibyśmy dotrzeć do nich, gdybyśmy mieli dosyć drzewa do zbudowania tratwy.

— Co za nieszczęście! Ratunek był tak blisko, a równocześnie tak daleko! A więc nie mieliście drzew?

— Nie. A zresztą, gdybyśmy je nawet mieli, brakowało nam przecież narzędzi do obróbki drzewa. Dopiero z biegiem czasu udało się odłamki raf koralowych tak wyostrzyć, że mogły zastępować siekiery i noże. Ogołociliśmy więc krzaki, które się na wyspie znajdowały, z dolnych gałęzi, i wyhodowaliśmy je w ten sposób na drzewa.

— Ale z czego żyliście?

— Naprzód z korzeni, owoców i jaj. Odkryliśmy również rodzaj muszel, które można było jeść jak ostrygi. Później zaczęliśmy wyrabiać sieci i wędkę, by łapać ryby. Zkolei nauczyliśmy się ostrzyć strzały i wiązać łuki, z których strzelaliśmy do ptactwa. Poznaliśmy na wyspie pewien rodzaj królików; stały się naszym pożywieniem.

— Pożywieniem? Przypuszczam, że Landola chyba nie zostawił wam krzesiwa.

— Oh, ogień wykrzesaliśmy bardzo szybko. Sternau zwiedził sporo krajów, których ludność wydobywała ogień z dwóch kawałków drzewa. Musieliśmy jednak bardzo oszczędzać nasze zapasy.

— A jak było z ubraniem?

— Ubrania zniszczyły się jeszcze na statku; odzież panów przegniła niemal zupełnie. Musieliśmy pomyśleć o skórkach króliczych, które nauczyliśmy się oprawiać. Mieszkania mieliśmy bardzo prymitywne: lepianki z otworami, zamiast okien. Kawalerowie jadali u małżeństw.

— U małżeństw? — zapytał hrabia. — Ach, rozumiem, — rzekł po chwili z uśmiechem. — Niedźwiedzie Serce wziął za żonę Karję, córkę Miksteków. Indjanie nie mają przy zawarciu małżeństw żadnych przygotowań. Jakżeż jednak było z drugim małżeństwem?

Milczała przez chwilę; gdyby ktoś mógł dojrzeć twarz jej pod welonem, zauważyłby, że oblała się ponsem. Po chwili zaczęła mówić z pewnym wahaniem:

— Ach, panie hrabio, niechże pan uświadomi sobie nasze położenie! Byliśmy

samotni i zdani na siebie samych; wybawców przestaliśmy oczekiwać. A kochaliśmy się tak bardzo, ja i Antonio. Postanowiliśmy zostać mężem i żoną; reszta towarzyszy niedoli aprobowała naszą decyzję. Myśleliśmy o tem, że nas pobłogosławi ręka księdza, gdy tylko odzyskamy wolność. Nie wiem, czy zobaczę jeszcze kiedyś mego Antonia i pozostałych towarzyszy. Wyobrażam sobie, w jaką wpadli rozpacz, gdy nie powróciłam!

— Jestem niezwykle ciekaw, w jaki sposób wydostałaś się z wyspy?

— To było smutne i okropne; groza mnie przejmuje, gdy o tem myślę.

Emma westchnęła głęboko i boleśnie; mimo welonu i szerokiej szaty, w jaką była ubrana, don Fernando zauważył, że drży.

— Opowiadaj, Emmo! — prosił. — Choć ci to ciężko idzie, choć cię wspomnienia przerażają, musisz mi wszystko wyznać. To, co sam przeżyłem, jest z pewnością niemniej okropne.

— Nareszcie udało się nam wyhodować tak potężne drzewa, że mogliśmy pomyśleć o tratwie. Ze względu na stan naszych narzędzi, kosztowało to niemało trudu. Tratwa była wreszcie gotowa. Mogła pomieścić nas wszystkich i nasze zapasy.

Zaopatrzyliśmy ją w ster, maszt i żagiel, szyty ze skórek króliczych. Leżała przy brzegu; postanowiliśmy przepłynąć na niej miejsce, które nawet przy pogodzie jest bardzo burzliwe. W nocy, poprzedzającej nasz wyjazd, zbudziło mnie jakieś wycie. Zaczęłam nasłuchiwać; rozszalała burza. Pomyślałam o zapasach, znajdujących się na tratwie, i postanowiłam zobaczyć, czy łódź jest dobrze przymocowana do brzegu. Ponieważ mężczyźni dużo w dzień pracowali, nie zbudziłam nikogo, i sama poszłam nad brzeg. Zobaczyłam, że wzburzone fale miotają tratwę na wszystkie strony. Linę, na której łódź była uwiązana, uplotliśmy ze skóry. Mogła łatwo pęknąć, skóra bowiem królicza jest bardzo nietrwała. W łodzi leżała jeszcze jedna lina. Chciałam ją zabrać, by lepiej łódź przymocować. Ledwie stanęłam na tratwie, spadła olbrzymia fala i zerwała linę. Po chwili łódź była już na burzliwym morzu. Ze strachu upadłam, tracąc przytomność.

— Dalej, dalej!

— Nie przypominam sobie, co się potem działo; nie przypominam sobie również, w jaki sposób łódź przebyła rafy koralowe.

— To łatwo wytłumaczyć. Morze było tak wzburzone, fale tak wysokie, że rafy już nie stanowiły przeszkód.

— Jak we śnie słyszałam ryk morza, uderzenia piorunów; widziałam

błyskawice, rozdzierające ciemności nocy. Gdy już zupełnie oprzytomniałam, świeciło słońce. Deszcz ustał zupełnie; morze zaczęło się uspakajać. Najważniejszą sprawą było pytanie, czy prowianty nie zatonęły. Okazało się, że fale ich nie splukały. Jak łódź potrafiła wyjść cało z orkanu, pozostało to dla mnie zagadką; w każdym razie wyspa znikła; byłam otoczona tylko wodą. Co miałam czynić? Płakałam i modliłam się naprzemian aż do nadejścia nocy. Płakałam i modliłam się przez całą noc i przez dzień następny, ale to nie pomogło mi wrócić na wyspę. Wreszcie, znużona wzruszeniami dnia, usnęłam. Gdy się obudziłam, straciłam zupełnie poczucie czasu. Pomyślałam teraz o tem, o czem powinnam była pomyśleć przedewszystkiem.

— O sterze i żaglach, nieprawdaż?

— Tak. Miałam wrażenie, że burza rzuciła mnie na wschód, więc zaczęłam sterować ku zachodowi. Teraz dopiero wiem, że lepiej byłoby postąpić przeciwnie. Z natężeniem wszystkich sił podciągnęłam żagiel. Chociaż nie miałam pojęcia, jak należy obchodzić się z łodzią, udało mi się umieścić go tak, by łódź płynąć mogła na zachód. Dniami stałam przy sterze, nocami przywiązywałam go. Tak przeszło piętnaście dni i piętnaście nocy. Czy mam mówić, co przez ten czas wycierpiałam? To wprost niemożliwe.

— Wyobrażam sobie, droga moja Emmo, — rzekł hrabia. — To i tak godne podziwu, że nie zginęłaś w tych warunkach i nie straciłaś zmysłów.

— Szesnastego dnia ujrzałam statek; ludzie ze statku spostrzegli również mą tratwę. Był to okręt holenderski; płynął do Batawji. Dowiedziałam się od kapitana, że jesteśmy między Karolinami a wyspami Palaos. Zdaniem jego, burza gnała tratwę z niesłychaną szybkością w kierunku zachodnim. Przebyłam archipelag, nie widząc ani jednej wyspy. Kapitan polecił krawcowi okrętowemu sporządzić dla mnie suknię i pocieszył mnie nadzieją, że w Batawji znajdę z pewnością pomoc. Gdyśmy płynęli szlakiem Sund, napadł na nas jeden z chińskich okrętów korsarskich; grasuje ich sporo w tych stronach. Odniósł zwycięstwo i wyciął w pień załogę. Tylko mnie oszczędzono. Reszta jest wam znana, don Fernando. Zawieziono mnie na Ceylon i tam sprzedano. Emir odstąpił mnie sułtanowi Harraru; oto wszystko.

— Dziecko, — rzekł hrabia łagodnie — jest Bóg dobrotliwy, który każdym nieszczęściem pokierować potrafi i obrócić je na dobre. Kto wie, czy wam wszystkim razem udałoby się dotrzeć do jakiejś wyspy? Pismo Święte mówi: „Z wiatrów czyni anioły, z płomieni swe sługi“. Burza zagnała cię na zachód. Bóg

chciał, byś mnie znalazła; wierzę, że wszystko jeszcze cudownie się skończy.

— Ach, gdyby spełniła się ta nadzieja! Powiadam wam, don Fernando, wolę umrzeć, aniżeli zostać żoną tego człowieka.

— Nie umrzesz i nie będziesz do niego należała, drogie dziecię. Dziś w nocy uciekniemy. Wyobraź sobie, spotkałem w tutejszym więzieniu dzielnego człowieka, który pochodzi z Manrezy, niedaleko Rodrigandy. Ten łotr Landola i jego sprzedał, ponieważ był niewygodny dla Gasparina Cortejo. Mam wrażenie, że przeznaczono nas wszystkich na zagładę, a tylko chciwość Landoli uratowała nam życie. Z Hiszpanem, który się zwie Mindrello, postanowiliśmy uciec dzisiejszej nocy.

— W jakiż to sposób, sennor?

— Powiedziałbym ci chętnie, ale patrz: murzyn wyciąga zegar po raz drugi; piasek już się kończy.

— Nic jeszcze nie wiem o waszym losie i przygodach.

— Chciałem ci wszystko opowiedzieć, ale znajdzie się na to czas później. Mamy do dyspozycji jeszcze tylko kilka minut; musimy czas ten zużyć na powtarzanie słów, których się nauczyłaś. Przyjdę dziś wieczorem do ciebie; nie myśl o niczym innym, tylko o przestrzeganiu największej ciszy. Gdyby nam coś przeszkodzić miało, zobaczysz mnie jutro, na lekcji.

Hrabia zaczął powtarzać z Emmą wyrazy, których się miała nauczyć; eunuch kiwał z zadowoleniem głową. Gdy upłynęły trzy godziny, murzyn podniósł się z godnością i rzekł rozkazująco:

— Czas twój minął. Chodź ze mną!

Hrabia wstał z koca i zaczął zmierzać ku wyjściu. Przy samych drzwiach zaszedł mu drogę sułtan.

— Na Allaha! Jesteście punktualni — rzekł władca Harraru, poczem, zwracając się do eunucha, zapytał:

— Czy słyszałeś wszystko?

— Wszystko, panie, — odparł zapytany piskliwym głosem eunucha.

— Czy mówił o mnie dobrze, czy też źle?

— Dobrze, nawet bardzo dobrze!

— Jesteś tego pewien?

— Najzupełniej, bo przecież słyszałem na własne uszy.

Sułtan skinął głową z zadowoleniem i, zwracając się do hrabiego, zapytał:

— Czy się czegoś nauczyła?

— Tak — odparł zapytany pewnym głosem.

— Czego? Czy mogę wiedzieć?

— Jeżeli taka twoja wola... Mówiłem z nią bardzo wiele o tobie. Zapytaj, za kogo cię uważa.

Sułtan zapytał z ogromną ciekawością:

— Powiedz, kim jestem?

Hrabia skinął głową i Emma wyrzekła w języku sułtana pierwsze wyuczone zdanie.

— Jesteś wielkim władcą.

Sułtan uśmiechnął się szeroko i pytał dalej:

— Czy umie jeszcze coś?

— Zapytaj, czy uważa, że jesteś uprzejmy?

— Czy sądzisz, że jakakolwiek kobieta mogłaby mnie nienawidzić lub mi się oprzeć? — zapytał władca.

— Jesteś rozkoszą kobiet — brzmiała odpowiedź z za woalu.

— Zapytaj, czy czuje tę rozkosz? — rzekł hrabia.

— Widok twój koi mą duszę — odpowiedziała.

Sułtan był zachwycony rezultatem pierwszej lekcji. Poklepał jeńca po ramieniu, co mu się nigdy dotąd nie zdarzyło, i rzekł doń protekcjonalnie:

— Jesteś najlepszym nauczycielem, jakiego sobie można wyobrazić. Niewolnica zostanie dziś jeszcze moją żoną, ty zaś będziesz nagrodzony, nie jak niewolnik, lecz jak człowiek wolny.

— Panie, nie śpiesz się zbyt, — rzekł don Fernando. — Pomyśl o tem, że serce jej jest jeszcze przy tych, z którymi wyrosła i żyła, i że dopiero dziś stała się twą własnością. Bądź jeszcze przez kilka dni cierpliwy i pozwól jej naprzód uspokoić się nieco. Im więcej będziesz okazywać przyjaźni i serdeczności, tem łatwiej zdobędziesz jej serce. Zapytaj sam, a przyzna mi rację.

Sułtan zwrócił się znowu do Emmy.

— Czy to prawda, że prosisz o zwłokę?

— Bądź litościwy, a serce moje cię pokocha, — brzmiała ostatnia wyuczona odpowiedź.

— Kocha mnie, chce mnie kochać! — zawołał sułtan. — Uczynię to, o co mnie prosi. Ty zaś będziesz mieszkał w drugim pałacu. Nie wolno ci go opuszczać;

musisz być stale do mej dyspozycji.

Hrabia wyszedł z pokoju. Sułtan polecił eunuchowi przygotować dla jeńca mieszkanie. —

Don Fernando otrzymał w drugim pałacu pokój, w którym miał zamieszkać. Oczywiście, nie należy brać określenia pałac zbyt dosłownie. Była to poprostu oficyna głównego budynku; stała tam otomana i nic ponadto.

Sułtan był dziś przyjaźnie usposobiony względem jeńca, tak srogo ukaranego wczoraj; hrabia przekonał się o tem, gdyż przyniesiono mu fajkę i jako-taką porcję tytoniu. Palenie sprawiało mu rozkosz niewysłowioną; wszak był go pozbawiony przez cały szereg lat.

Jakże zmieniły się od wczoraj warunki! Hrabia był pełen nadziei, że wszystko skończy się jak najlepiej i ucieczka się uda.

Zapadający wieczór dowiódł, że nadzieja w pomoc Bożą nie była bezpodstawna. Ledwie się zaczęło ściemniać, sprowadzono z pastwiska cztery najlepsze wielbłądy i postawiono w szopie, w której mieściły się części uprzęży sułtana. Na zapytanie hrabiego: — dlaczego wielbłądy nie zostają na pastwisku? — odparł człowiek, który je prowadził:

— Ponieważ taki jest rozkaz sułtana. Wyjeżdża jutro rano ze swą najstarszą żoną do jej ojca, u którego pozostanie czas jakiś. Mam przygotować dwa siodła męskie, jedną lektykę damską i siodło do ładowania ciężarów.

Sułtan usuwał pierwszą żonę, pragnąc czas swój poświęcić wyłącznie nowej niewolnicy.

Hrabia był uszczęśliwiony. Dwa siodła, to przecież w sam raz dla niego i Mindrella; lektyka — dla Emmy; na czwartem siodle można będzie ulokować rzeczy, potrzebne do drogi.

— Czy mogę ci pomóc? — zapytał hrabia człowieka, pędzącego wielbłądy.

— Dobrze! Jestem zmęczony i chciałbym się prędko położyć — odparł tamten.

Hrabia nie mógł nawet marzyć o korzystniejszej odpowiedzi. Nakarmił i napoił wielbłądy, a gdy poganiacz oddalił się o zmroku, przyrzekł mu na pożegnanie spać przy nich, aby się ulubieńcom sułtana nic złego nie przytrafiło. Fajka, napełniona tytoniem, była nagrodą za tę propozycję. — —

Tymczasem Mindrello siedział samotny w swej celi i z tęsknotą wyczekiwał zmroku. Gdy wieczór, według jego obliczeń, nastał, wdrapał się po ścianie na górę i zrzucił kamień. Powstała przez to dziura, prowadząca do lochu hrabiego.

— Don Fernando! — zawołał półgłosem.

Nie było odpowiedzi.

— Don Fernando! — powtórzył.

Znowu milczenie.

— Panie hrabio! Sennor! Don Fernando!

Nikt nie odpowiadał.

— Cóż to znaczy, na Boga? — mruknął Hiszpan przerażony. — Czy mu się coś stało? Czy go wyciągnięto z lochu? Tak, czy owak, byłoby źle dla nas obu, gdyby mu się przytrafiło nieszczęście. Przeleżę do jego celi, aby się przekonać.

Wyciągnął jeszcze jeden kamień ze ściany, dzielącej cele, i wlażł do lochu. Hrabiego nie było. Na ziemi leżały pozabijane szczury.

Pełen niepokoju i rozpaczony, wrócił do swojej nory i czekał. Gdy mu już zabrakło cierpliwości, wdrapał się znowu ku wyjściu i, ukryty za kamieniem, zaczął nasłuchiwać, czy w śpiącym mieście nie odezwie się jakiś szmer. Panowała cisza. Wyrzałby chętnie przez kraty, ale nie mógł przecież sam odsunąć kamienia.

Przeszedł długi czas w trwodze i zgryzocie. Mindrello zaczął już tracić nadzieję, gdy nagle usłyszał jakiś szelest. Ktoś uwijał się koło kamienia. Kto to być może? Kat, czy też hrabia? Zapukano kilkakrotnie do płyty, poczem głos jakiś zapytał:

— Mindrello, czy to wy?

— Tak, to ja, sennor.

— Pomóżcie mi odsunąć kamień; sam nie poradzę.

Nareszcie płyta ustąpiła. Bez trudu odsunęli teraz kamień i Mindrello wy dostał się na powietrze.

— O Dios, co się strachu najadłem! — rzekł. — Zaglądałem do waszej celi, don Fernando, nie znalazłem was jednak.

Gdzieście przepadali?

— Wezwano mnie do sułtana; przeżyłem wiele, mój drogi Mindrello. Szczegóły opowiem ci później.

Dla uspienia podejrzeń umieścili kamień na dawnym miejscu, poczem udali się w kierunku pałacu. Szyldwach stał przy bramie. Otaczały ich ciemności egipskie. Obydwaj poczołgali się do wartownika. Hrabia skoczył szybkim ruchem, chwycił strażnika obydwoma rękami za gardło i zdusił tak mocno, że szyldwach stracił oddech i ze strachu gębę rozdziawił. W jednej chwili zakneblowali mu usta, a w kilka chwil później skrępowali tak mocno, że się ruszyć nie mógł. Tak omotanego



zanieśli do szopy, w której czekały wielbłądy, już przedtem osiodłane przez hrabiego.

Droga stała przed nimi otworem. Pocichu dostali się do przedsionka sali przyjęć; hrabia zdjął nóż ze ściany, chciał bowiem na wszelki wypadek mieć broń przy sobie. Gdy odsunął parawan, zastępujący najbliższe drzwi, stwierdził, że sypialnia jest pusta.

— Co to? — zapytał Mindrello półgłosem.

— Ach, — szepnął hrabia — jeszcze nie śpi. Bawi u niewolnicy, która mieszka tam, w skarbcu.

— Więc tam jest skarbiec? Do djabła, wygodne urządzenie!

— Byłem w skarbu dzisiaj przez trzy godziny. Wszystko pójdzie dobrze. Chodźcie bliżej.

Dotarli do drzwi; przez szparę płynęła jasna smuga światła. Hrabia rozszerzył nieco szparę, mogli więc wyraźnie zobaczyć wewnątrz skarbcza.

Na poduszkach spoczywała Emma; w pewnej odległości siedział zapatrzony w nią sułtan.

Hrabia rzekł szeptem do Mindrella:

— Sułtan odwrócony jest do nas plecami. Stwierdziłem dziś, że drzwi te otwierają się bez szmeru. Chodzi tylko o to, aby się Emma nie zdradziła, żeśmy przyszli, a sułtan nie miał czasu na przywołanie pomocy lub na opór. Wejść pierwszy i dam znak.

Odsunął nieco drzwi i wszedł cicho. Emma czekała na jego zjawienie się już oddawna. To też widok hrabiego nie zdziwił jej wcale; udając, że go nie widzi, patrzyła prosto w oczy sułtanowi.

Trzeba było działać błyskawicznie. Hrabia w dwóch susach stanął przy sułtanie i chwycił go za gardło. Mindrello zmiął skraj ubrania sułtana i wcisnął mu w usta. Zaopatrzyli się zawczasu w sznury, więc z wiązaniem kłopotu nie było. Rzucili później skneblowanego władcę na łożo, z którego podniosła się Meksykanka.

— Nareszcie! — westchnęła z ulgą. — Zaczęłam już tracić nadzieję.

Hrabia nie odpowiedział; podszedł ku drzwiom i zamknął szczelnie, aby żaden promień światła nie mógł się przedostać przez szpary. Potem zaczął się przyglądać sułtanowi. Sułtan nie zemdlał; rzucał wokoło wściekłe, ponure spojrzenia. Fernando de Rodriganda nachylił się nad nim i rzekł półgłosem:

— Pamiętaj: jeżeli słowo piśniesz, jeżeli się poruszysz, nóż ci w serce wpakuję!

Zabrał sułtanowi klucz, służący do zamykania i otwierania kajdan, postanowił bowiem oswobodzić dawnych towarzyszy niedoli. Teraz zwrócił się do Emmy:

— Dla ciebie przygotowana jest lektyka. Mimo to, będziesz musiała włożyć strój męski, aby zmylić naszych ewentualnych prześladowców. I nam potrzebne porządne ubrania, abyśmy wyglądali na bogatych podróżnych. Na ścianach wszystkiego tu pod dostatkiem. Wybierzmy, co nam potrzeba.

Gdy się don Fernando i Mindrello przebrali, hrabia przeciągnął sznur od jednej ściany do drugiej i powiesił na nim kilka arabskich płaszczy. Za tym parawanem przebrać się mogła Meksykanka.

Zanim minęło dziesięć minut, byli gotowi. Ubrania nosili strojne i bogate; nie ulegało wątpliwości, że budzić będą u ludzi szczepu Somali podziw nieodparty.

— A teraz sprawa broni — rzekł hrabia.

— Wiem, gdzie jest broń, — rzekła radośnie Emma. — Sułtan przyniósł przedtem dwa rewolwery, dwie dwururki i amunicję. Włożył wszystko do tej oto skrzyni.

Otworzyli skrzynię i wyjęli broń. Hrabia dorzucił jeszcze kilka cennych gałganów oraz trzy szable z wykładanymi rękojeściami, wysokiej pono wartości.

— A teraz otworzmy pozostałe skrzynie i kosze; zobaczymy, czy niema w nich pieniędzy, — rzekł don Fernando. — Rozwaga radzi je zabrać.

— Wiem, gdzie wszystko leży, — rzekła Emma. — Pokazywał mi swoje skarby.

— Czy ma złoto?

— Tak. Sądzę, że jedna skrzynia jest niem napełniona.

— A srebro?

— Srebro leży w trzech skrzyniach, które stoją obok tamtej.

Sułtan posiada również klejnoty i drogocенności.

— Tem lepiej. Być może, będziemy musieli wynająć sobie lub kupić jaki statek, aby dotrzeć do wyspy naszych przyjaciół; trzeba nam dużo pieniędzy.

Ściągając sznury ze skrzyń, zapytał:

— Gdzie leżą klejnoty?

— Tu, w środkowej skrzyni; w pudełkach.

Srebro, które znaleźli, zawarte było przeważnie w talarach Marji-Teresy, złoto zaś w hiszpańskich dublonach, gwinejach angielskich i francuskich ludwikach. Klejnoty miały wartość miljonową. Marnowały się tutaj, nie przynosząc nikomu pożytku. Zabierały w stosunku do swej wartości najmniej miejsca; wzięli je

wszystkie. Talarów zabrał hrabia tylko tyle, ile trzeba było na drogę, szczepy bowiem, które mieli napotkać, nie przyjmowały innej zapłaty. Złoto zagarnięto również.

Mieli dosyć worków, aby w nie spakować zabrane rzeczy. Położyli wszystko na stos wspaniałych koców i dywanów, dodając do tego kilka przepięknych fajek oraz nieco tytoniu. Obydwaj mężczyźni zaczęli ładować zdobycz na wielbłądy; Emma pozostała na warcie przy sułtanie.

Wynoszenie zabranych rzeczy trwało długo, bowiem hrabia i Mindrello musieli być ostrożni i zachowywać się jak najciszej. Trzeba było pomyśleć jeszcze o worach skórzanych na wodę, jak również o worach na żywność, około północy Emma dowiedziała się wreszcie, że będą mogli wyruszyć.

— Co sobie teraz myśli nasz poczciwy sułtan Harraru? — rzekł hrabia. — Pęka z pewnością ze złości. Biada nam, gdyby nas schwytał!

— Nie sądzicie chyba, aby mógł za nami nadażyć? — zapytała trwożnie Emma.

— Nie, nie sądzę; mamy przecież najlepsze wiebłądy i około wieczora przekroczymy granice tego kraju. Nie jest to wykluczone, że zechcą mu nas wydać, lecz weźmiemy obrońcę — abbana. Ale, wpadła mi dobra myśl do głowy! Czy wiecie Mindrello, gdzie znajdziemy najlepszego, najwierniejszego, najofiarniejszego abbana?

— Gdzież to?

— W tutejszem więzieniu.

— Jeniec? Czy potrafi nas obronić?

— Jako jeniec nie. Ale gdy go uwolnimy, wdzięczność jego będzie bezgraniczna.

— Czy mamy czas na to?

— Uwolnienie abbana nie wymaga więcej, aniżeli pół godziny. Chodźcie, Mindrello! A sennora niechaj zostanie jeszcze na straży.

Hrabia odszedł wraz z Hiszpanem. Jak wszyscy mieszkańcy Harraru, nosili miękkie pantofle, zabrane sułtanowi, poruszali się więc zupełnie cicho. Bez najmniejszego szmeru, ukradkiem, podeszli pod bramę więzienia. Wartownik siedział po drugiej stronie, zatopiony w rozmyślaniach.

— Zwiążemy go i skneblujemy, jak tamtych, — rzekł hrabia.

— Czem? — zapytał Mindrello. — Czy macie powrozy?

— Nie, ale mamy noże i będziemy mogli pociąć na pasy jego ubranie.

— Zrobię to, wy zaś trzymajcie strażnika.

— Doskonale. Więc naprzód!

W kilka chwil później znaleźli się przed strażnikiem. Ledwie zdążył jęknąć, zasznurowali mu gardło; po niedługiej chwili leżał związany na ziemi, z kneblem na ustach w postaci zwiniętego gałgana. Jediną jego bronią był kij.

Drzwi więzienia nie były zaopatrzone w zamek, a tylko zamknięte na dwa rygle. Gdy je hrabia otworzył uderzyła go fala straszliwego fetoru. Jeńcy zbudzili się, słyhać było dźwięk łańcuchów.

— Zostańcie przy drzwiach na warcie, aby nas nie zaskoczono, — rzekł hrabia Fernando do Mindrella, poczem wszedł do więzienia i zamknął drzwi za sobą. W więzieniu panowała cisza oczekiwania. Jeńcy wiedzieli, że ktoś wszedł; mogło to być, przy okrucieństwie sułtana, dla każdego z nich równoznaczne z wyrokiem śmierci.

— Czy jest tu pośród was ktoś z wolnych Somali? — zapytał hrabia.

— Jest — odparły dwa głosy.

— Aż dwóch! Do jakiego szczepu należycie?

— Do szczepu Zareb; jesteśmy tu dwaj, ojciec i syn, — rzekł jeden z nich.

— Dobrze. Pójdziecie za mną, nie mówiąc ani słowa. Im bardziej będziecie posłuszni, tem lepiej dla was. Posłuszeństwo przyniesie wam wolność.

Wyciągnął zabrany klucz od kajdan i zbliżył się do tego, który mu odpowiedział, chcąc go uwolnić z łańcucha. Kajdan, krępujących ręce i nogi jeńca, hrabia nie zdjął.

— Gdzie drugi? — zapytał.

Zbliżył się i tamten; hrabia oswobodził go z łatwością mimo grobowych ciemności.

— Wychodźcie teraz! — zawołał.

Obydwaj jeńcy musieli na chwilę zatrzymać się pod drzwiami, dopóki don Fernando, z pomocą Mindrella, nie przeniósł do wnętrza napadniętego strażnika i nie zaryglował drzwi za sobą. Hrabia uszedł z dwoma jeńcami kilkanaście kroków. Gdy już upewnił się, że pozostali nie będą mogli posłyszeć ich rozmowy, rzekł:

— Odpowiadajcie jak najciszej. Dlaczego zostaliście schwytani?

— Żyliśmy w spokoju, — odpowiedział starszy — lecz sułtan napadł na nas, ponieważ ktoś z naszego szczepu ukradł mu konia.

— Jak długo już jesteście w niewoli?

— Dwa lata.

— To straszne. I chcecie być znowu wolni?

— Tęskno nam za swoimi. Kimże jesteś, tajemniczy panie?

— Jesteście wolnymi Somali i dlatego ufam wam.

Towarzysz mój i ja byliśmy dotychczas jeńcami, tak samo jak i wy, ale wyprowadziliśmy sułtana w pole i chcemy zbiec. Szukamy najkrótszej drogi do morza; potrzebujemy przewodnika, abbana. Na wybrzeżu otrzymamy złoto, a wtedy nie ominie was zapłata. Jeżeli jeden z was chce być naszym przewodnikiem i obrońcą, uwolnimy go z więzów i zabierzemy ze sobą. Odpowiadajcie szybko; nie mam czasu.

— Panie, weź nas obydwóch ze sobą! — rzekli jednocześnie.

— Dobrze. Czy przysięgacie, że będziecie mnie i tych, którzy są ze mną, ochraniać przed waszymi ludźmi i wszystkimi wrogami?

— Przysięgamy.

— Przysięgacie na Allaha i na brodę Mahometa?

— Tak, na Allaha, na brodę Mahometa i na świętych kalifów!

Po tej przysiędze, którejby się nie odważył złamać żaden pobożny mahometanin, zwolniono ich z reszty więzów. Udali się z Mindrellem do szopy, w której stały wielbłądy; don Fernando wrócił do Emmy. Ucieszyła się i uspokoiła na jego widok. Spięła włosy do góry, a hrabia zrobił jej z delikatnego, wschodnio-indyjskiego welonu turban na głowę, by mogła uchodzić za młodego Turka.

Postarawszy się o odpowiednie akcesoria dla Emmy, wyszukał z kolei don Fernando dwie strzelby, proch, ołów, ubrania, noże i jatagany dla obydwóch Somali.

Trzeba było jeszcze znaleźć odpowiedni klucz. Harrar posiada pięć bram; u każdego klucza zwisała numerowana płytką metalowa, dobrać więc odpowiedni nie było trudno. Zaopatrzywszy się w rzeczy, przeznaczone dla Somali, i poleciwszy Emmie iść za sobą, mógł hrabia ruszyć. Gdy się zbliżyli do szopy, zastali obydwóch Somali, czekających z niecierpliwością.

— Oto odzież, proch, broń i ołów — rzekł hrabia. — Ubierajcie się prędko. Te obydwie dywany przeznaczyliśmy dla waszych wielbłądów, które zabierzemy z pastwiska. Żywo, musimy się śpieszyć!

— Panie, — odparł ojciec — nie wiemy, kim jesteś, ale możesz rozporządzać naszym życiem, — należy ono do ciebie. Znamy wszystkie drogi i zaprowadzimy

was aż do morza. Nie obawiaj się wcale prześladowców; nie dościgną nas. Nie chcemy od ciebie zapłaty; dajesz nam przecież wolność, która jest więcej warta, aniżeli srebro i złoto.

— Mówisz, jak człowiek, który umie ocenić przysługę. Nie zapłacę, ale dam wam podarek godny tego przywiązania, jakie przyrzekacie. Oto wielbłądy; trzy będą nas nosiły, czwarty poniesie towary. Młody mój towarzysz nie jest wyrawdzie kobietą, ale, skoro mamy lektykę, niechaj w niej spocznie. Wyjeżdżamy przez bramę, która prowadzi do Gaffy. Będziecie szli obok nas, jakgdybyście byli naszymi służącymi. Będę przy bramie udawał sułtana. Oto klucz. Otworzysz bramę i zamkniesz ją później; to wszystko, co macie czynić. Naprzód!

Dosiedli wielbłądów i rozpoczęła się podróż. Dotarli do bramy. Strażnik spał. Somali zaczął otwierać bramę; zgrzyt klucza zbudził śpiącego Podbiegł szybko ze sztabą, oznaką swojej godności; ponieważ nie miał czasu na zapalenie światła, nie mógł rozpoznać jeźdźców.

— Kim jesteście? — zapytał. — Hola! Wstrzymajcie się!

Bez zezwolenia sułtana nie wolno nikomu opuścić bramy. Zabraniam otwierać!

— Jak śmiesz, psie! — zawołał hrabia, naśladowując głos sułtana. — Czy nie wiesz, że się udaję do ojca mej żony? A może nie znasz swego władcy? Jutro będziesz ziemię gryzł przede mną, ty synu szakala!

## Koniec wersji demonstracyjnej.

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

